

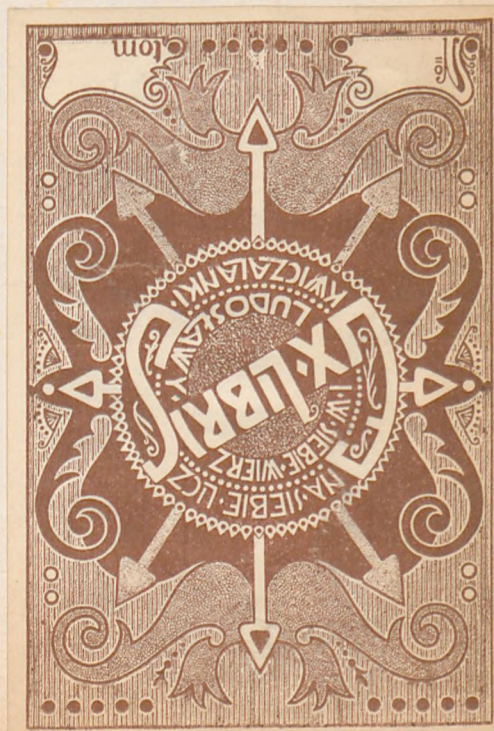
# Gucio Zaczarowany



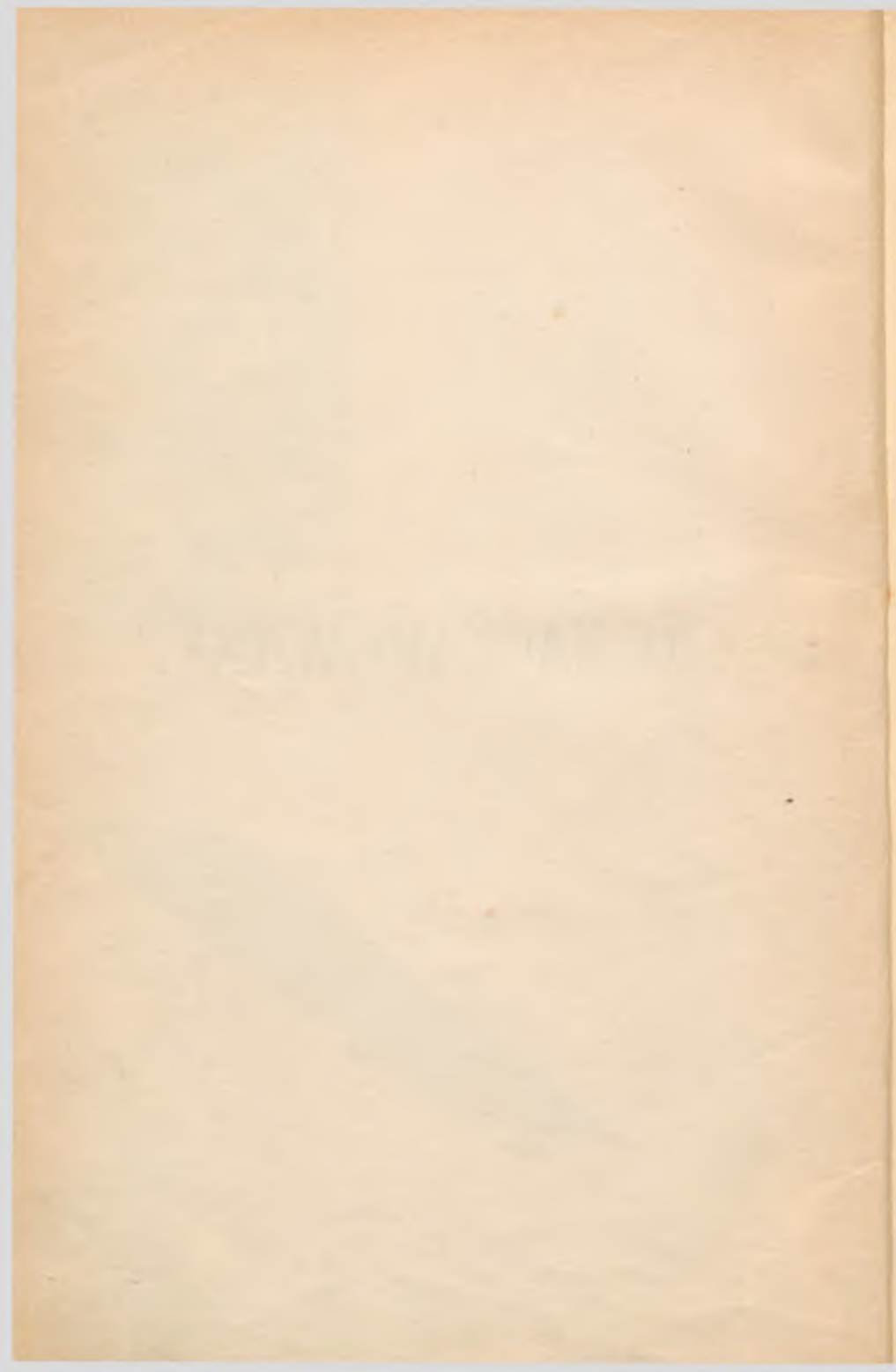
WARSZAWA

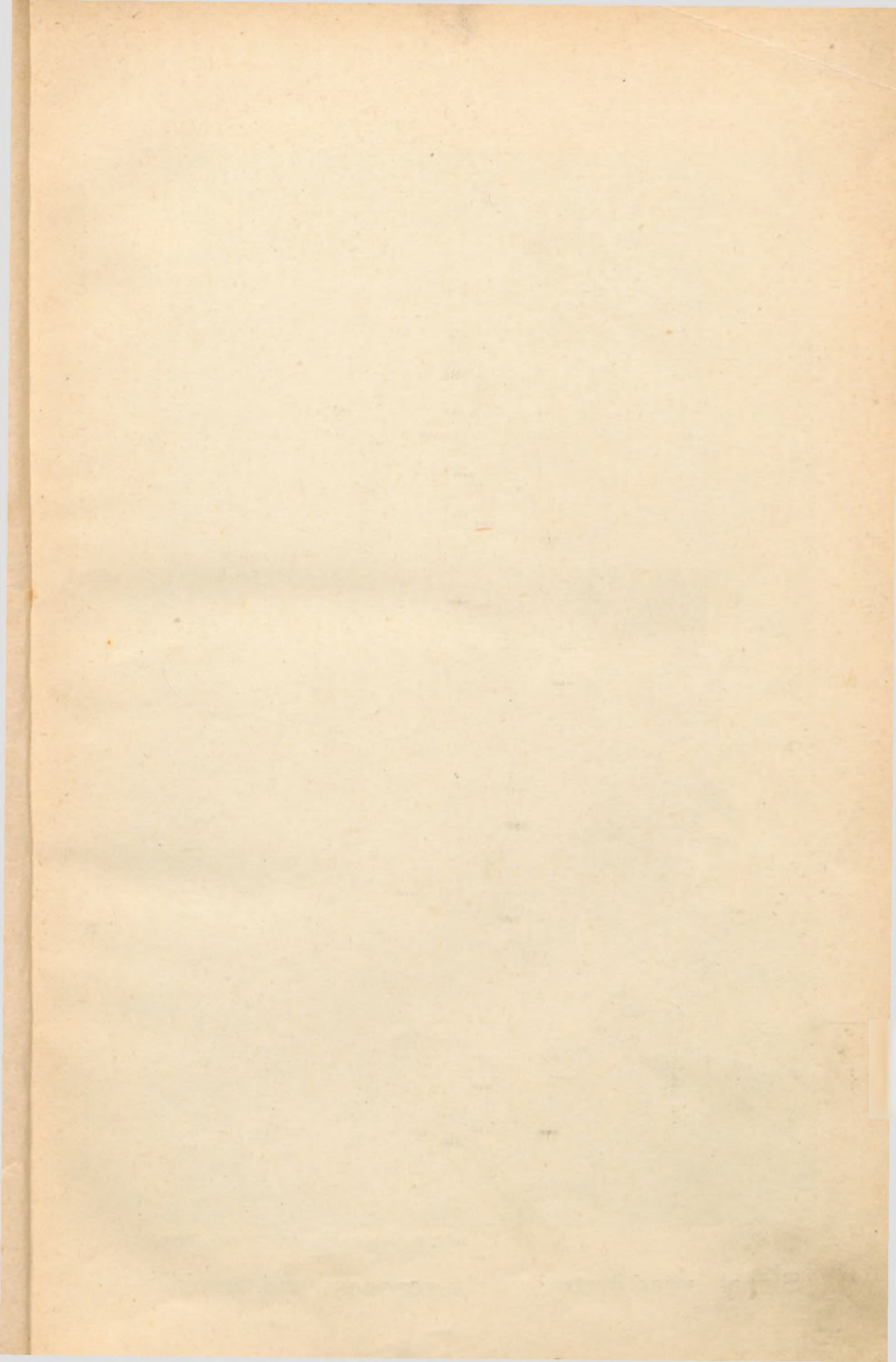
NAKŁAD GEBETHNERA i WOLFFA

№ 10  
31.20



GUCIO ZACZAROWANY.







Zakł. Fotoch. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa.

Stała przed lustrem umieszczonym nad kominkiem

# GUCIO ZACZAROWANY

POWIEŚĆ DLA MŁODSZYCH DZIECI

PRZEZ

ZOFIĘ, URBANOWSKĄ

z dziesięcioma rycinami kolorowanemi.

Wydanie czwarte



W składzie w księgarni  
Józefa Meinharta  
w Jarosławiu.

WARSZAWA  
Nakład Gebethnera i Wolffa  
Kraków — G. Gebethner i Spółka  
1908



Zb. S.

K-1624

821.162.1-93



## I.

### Kto jest Gucio i dlaczego się nudzi.

Guciowi H. nic nie brakowało do szczęścia, a jednak, dziwna rzecz, nie był szczęśliwy! Miał ojca zamożnego, cieszącego się powszechnym szacunkiem, mateczkę piękną i dobrą jak anioł, siostrzyczkę, nie umiejącą mu nic odmówić, o cokolwiekby ją prosił. Miał dużo pięknych książek z obrazkami; fuzyę, która, chociaż nie mogła zabić nikogo, ale gdy na nią nakładał kapiszony, strzelała z wielkim hukiem i dymem; a co najważniejsza, miał ślicznego żywego kucyka maści siwo-jabłkowitej, którego zazdrościli mu wszyscy chłopcy z sąsiedztwa. Ojciec darował mu nowiutkie angielskie siodelko na imieniny, a siostra uszyła własną ręką wspaniałą czerwoną czapkę, z cyframi solenizanta na rogach. Miał... ach, i wyliczyć trudno, co miał ten chłopiec, istny pieszczoch losu; a jednak, mimo to wszystko, ładna jego twarzyczka często bywała

oszepecona wyrazem znudzenia, a usta o mało się nie podarły od ustawicznego ziewania.

Począwszy od rodziców a skończywszy na służbie, wszyscy mu dogadzali; zaledwie objawił jakieś życzenie, już przemyśliwano, jakby je zaspokoić, jakby mu sprawić niespodziankę. Doszło do tego, że nareszcie sam nie wiedział, czego pragnąć, posiadał bowiem wszystko, czego chłopiec w jego wieku mógł potrzebować, a nawet więcej jeszcze.

Wrażliwy z natury, każdą niespodziankę przyjmował z objawami szalonej radości — ale to krótko trwało; przestając być nowością, przestawała go jednocześnie zajmować. Książki, choćby najciekawszej, nie przeczytał nigdy całej; zajrzał na początek, na koniec, przeczytał kilka kartek ze środka, pooglądał obrazki i rzucił. Tak było ze wszystkim.

Dlaczego tak było, ja się trochę domyślam: oto dlatego, że Guccio miał wszystkiego zanadto i że nie lubił nic robić. Był próżniaczkiem. Zabawa jest stokroć przyjemniejszą, gdy następuje po pracy — a nasz przyjaciel unikał wszystkiego, co było z trudem połączone.

Niejeden z czytelników pewnie przypisze winę tego państwu H. i zgani im zbyteczną słabość dla syna. Ale ja, co znam ich oddawna i wiem, że gdy Guccio był jeszcze bardzo mały, stracili dnia jednego odrazu dwóch chłopczyków na zaraźliwą chorobę, nie

mogę ich potępiać za to, że nie umieli zakreślić granic swemu przywiązaniu i troskliwości dla jedyne go, jaki im pozostał — zwłaszcza że wątła, delikatna budowa chłopca, trzymała ich w ciągłej obawie o jego zdrowie.

Zdolności Gucio wi nie brakowało: bystry był, pojętny, ale miał nieprzewyciężony wstręt do nauki, która, jak każda praca, musiała być połączona z pewnym trudem. Bywało naprzykład, że panna Anna, nauczycielka, wyklada mu coś i dobiera wyrazów, jak najprzystępniej malujących przedmiot — a on te wyrazy jednym uchem wpuszcza, a drugim wypuszcza, i tylko myśli o tem, że białe gołębie jego przyjaciela Janka są ładniejsze od jego szarych gołębi, i że musi się z nim pomieniać — albo, jakby też wyglądał jego kucyk, gdyby mu ogon zawinąć w papiloty, a na łeb włożyć pasterski kapelusz Helusi. To też, gdy panna Anna każe mu powtórzyć to, co słyszał, powtarza tylko słowo w słowo, co mu siostra z litości podpowie; albo jeżeli mu przypadkiem tej dobroczynnej pomocy zabraknie, odpowiada piąte przez dziesiąte i miesza wszystko razem, niby groch z kapustą.

Panna Anna, osoba bardzo dobra i szczerze do obojga dzieci przywiązana, napominała go łagodnie raz, drugi, trzeci, ale gdy to nie skutkowało, szła do mamy. Gucio kochał swoją mateczkę nad wszystko w świecie, i nie było dla niego sroższej kary, jak wi-

dzieć ją zmartwioną — to też taka narada z panną Anną, odbywająca się przy drzwiach zamkniętych, budziła w nim zwykle wszystkie głosy sumienia. Z bijącym sercem patrzył z drugiego pokoju w te drzwi; a gdy nareszcie otworzyły się — i mama, wezwawszy go do siebie, wyrzucała mu jego niedbalstwo, tak ją przeproszał i całował po rękach, tak płakał, tak gorąco obiecywał poprawę, że dobra mateczka zawsze przebaczyła, uściskała synka, a co najważniejsza, uwierzyła w jego przyrzeczenia.

A jak tu było nie wierzyć, kiedy słowa Gucia tchnęły taką prawdą, a na twarzyczce malowało się zmartwienie tak głębokie, że aż żal było patrzeć! Czy jednak dotrzymywał tych przyrzeczeń? Niestety! łatwiej jest obiecać, niż dotrzymać. Miał on dobre serce, kochał rodziców i siostrzyczkę i gotów byłby w każdej chwili skoczyć dla nich w ogień lub wodę, choćby go to życie miało kosztować — tak mu się przynajmniej zdawało — ale... popracować nad czemś, przełamać swoje lenistwo, tego nikt na nim nie wymógł. Może to komu dziwnem się wyda, że ofiara z życia łatwiejszą się zdawała Guciovi, niż naprzykład nauczenie się tabliczki mnożenia — a jednak tak było; bo dla poświęcenia życia wystarcza nieraz jedna chwila, a tabliczki mnożenia trzeba się uczyć kilka dni pilnie, z uwagą — na takie zaś bohaterstwo trudno mu się było zdobyć. Miewał on tysiące pięknych za-

miarów, silnych postanowień — ale wszystkie, których natychmiast nie można było wykonać, kończyły się na niczem, bo mu brakowało wytrwałości.

Gucio wiedział o tej wadzie swego charakteru, i nieraz przy wieczornym pacierzu dawał sobie słowo, że „od jutra rana będzie innym“. Gdy przyszło owo „jutro“, wstawał rano, ubierał się spiesźnie, zasiadał do książki, i... żał mi powiedzieć, ale muszę, bo prawda przedewszystkiem — zanim nadeszło południe, zaczął zagłuszać w sobie głos sumienia i prosić je o pobłażanie „na dziś tylko jeszcze, bo od jutra niezawodnie już poprawę rozpocznie“.

Po takim oszukaniu samego siebie, uczuwał zawsze trochę wstydu przed sobą, ale uspokajała go myśl, że „jutro z pewnością już będzie inaczej“ — i cieszył się zawczasu radością, jaką sprawi mateczce. Nazajutrz jednak najczęściej znalazła się jakaś przeszkoda, albo goście do niego przyjechali, i poprawa znowu się odkładała. Czasem, jeżeli to był piątek, wybierał na tę poprawę poniedziałek, bo, zdaniem jego, w sobotę, jako ostatni dzień tygodnia, zaczynać nie było warto. Tak mijały dni, tygodnie i miesiące...

Ojciec, zajęty od rana do wieczora gospodarstwem, nie mieszał się wprawdzie do nauki syna, ale widział złe i przypisywał je temu, że wychowanie Gucia spoczywało przeważnie w rękach nazbyt ła-

godnych kobiet; że zaś sam zająć się nim nie miał czasu, więc niejednokrotnie już chciał do domu sprowadzić jakiego zdolnego, wymagającego a energicznego nauczyciela. Ale Gucio, ilekroć kazano mu dłużej siedzieć przy książce, narzekał zaraz na głowę; więc matka, obawiając się, aby nauczyciel nie męczył nadto jej jedynaka, i żeby w skutek tego nie ucierpiało jego zdrowie, wypraszała u męża zwłokę na czas jakiś jeszcze, dopóki Gucio trochę nie podrośnie i nie nabierze zdrowszej cery.

Służba tak męska, jak żeńska, bardzo lubiła panicza. Jak go tu nie było lubić, kiedy był dla wszystkich grzeczny, uprzejmy, a przytem taki miły, taki przylepka! Jak go nie było lubić, kiedy dzielił się ze wszystkimi każdym przysmakiem, otrzymanym od rodziców; a gdy dostał pieniędzy od ojca, to póty go one niepokoiły w kieszeni, póki wszystkich nie rozdał! Jak go nie było lubić, kiedy powierzchownością swoją, nad wyraz wdzięczną, pociągał oczy wszystkich! Jego wielkie błękitne oczy pełne były blasku i życia; włosy jasne, ze złocistym połyskiem, w gęstych zwojach spadały mu na ramiona, a delikatna, przezroczystej białości twarzyczka, przypominała twarze aniołków z obrazów sławnych malarzy.

Gucio nie był dumny ze swej piękności, choć o niej wiedział; przeciwnie, gniewało go to, gdy starsi, unosząc się nad nią, mówili, że wygląda jak panien-

ka — gardził bowiem wszystkim, co było rodzaju żeńskiego, nazywając to „babami“. Jedna tylko mateczka w przekonaniu jego nie była „babą“, ale istotą wyższą nad wszystko, była świętością. Wiele byłby dał za to, żeby mieć cerę ogorzałą jak ojciec, i pod nosem coś nakształt wąsów, ale niestety! to coś nie pokazywało się, chociaż był już przecież mężczyzną, miał ósmy rok!

---

## II.

### Gucio obchodzi swoje imieniny.

---

Imieniny Gucia obchodzono zawsze uroczyście: zjeżdżali się wszyscy chłopcy z sąsiedztwa i bawili w przeróżne gry, a pani H. wyprawiała im suty podwieczorek na świeżem powietrzu. Uprzejmość gospodyni domu, jej gościnność i umiejętność przygotowywania różnych miłych niespodzianek, znaną była powszechnie — to też mali przyjaciele Gucia oczekiwali zawsze z niecierpliwością zaproszenia, a otrzymawszy je, nie posiadali się z radości.

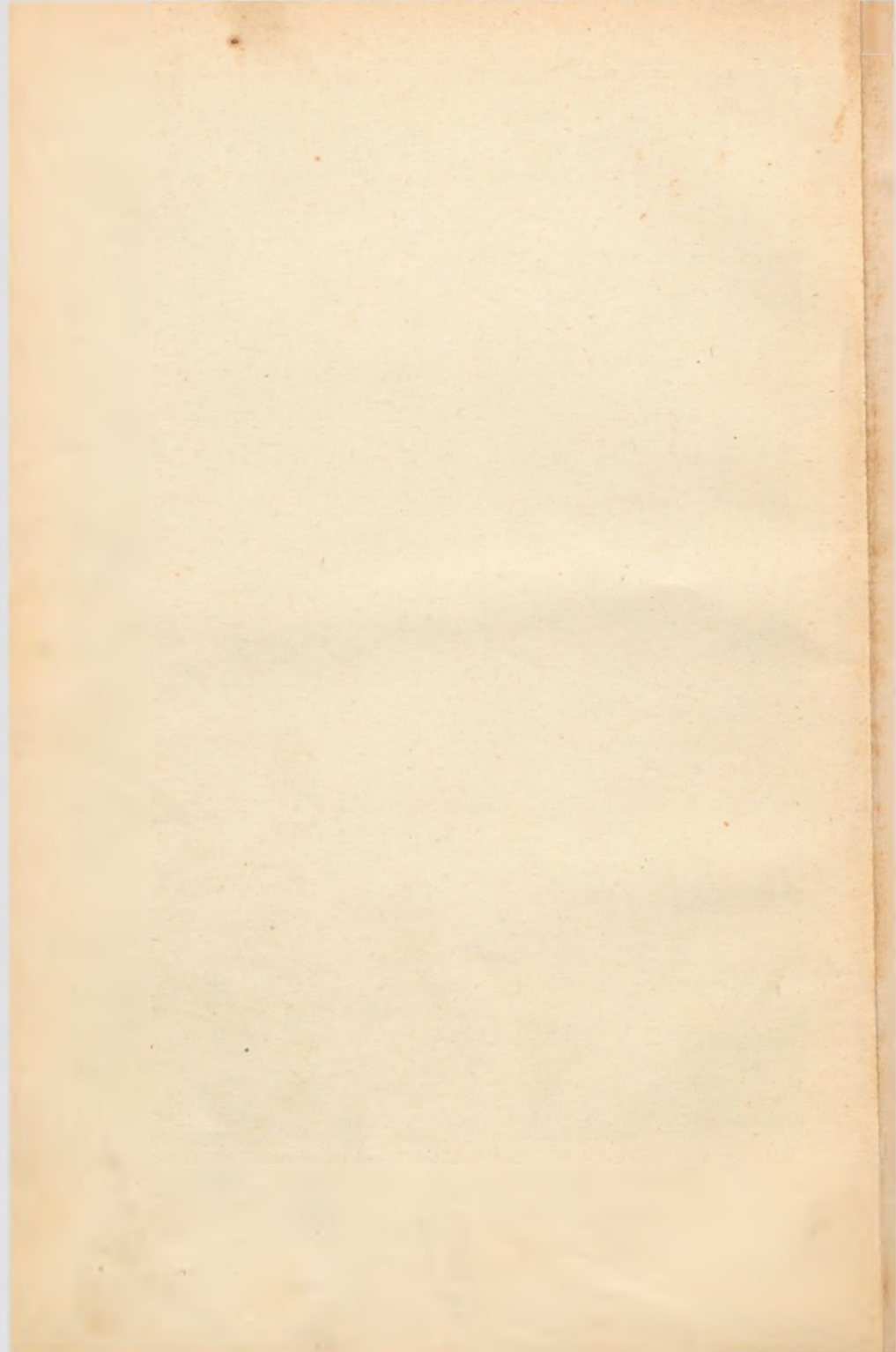
Od rana już kucharka Jędrzejowa, wielka w swoim zawodzie mistrzyni, upiekła ogromny placek z wiśniami i aż dwa półmiski wybornych kruchych ciastek, za którymi chłopcy przepadali — a teraz, chociaż dopiero południe minęło, spieszy się z nadziewaniem kurcząt, jakby ją kto napędzał, i woła na gospodynię o śmietanę, a na ogrodnika o sałatę i szparagi; słychać tłuczenie, brzękanie, a po całym domu rozchodzą się





Zakł. Fotoch. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa.

Gucio okazał zdolności dzielnego wodza



zapachy, od których pies i kot kręcą ogonami i tak uparcie pilnują kuchni, że ani sposób ich wypędzić.

Gucio jest wszędzie: w pokoju, na dworze, w kuchni — ale nigdzie nie siedzi dłużej nad kilka minut; był i znowu go niema! Jest w nim coś, co mu nie daje usiedzieć na miejscu, jakaś siła, pchająca go gdzieś, do czegoś, którą on czuje, ale nad którą się nie zastanawia — i to nie tylko dziś, ale zawsze. To coś niewytłomaczonego, ta siła pobudzająca, istnieje w duszy każdego człowieka, czy to małego, czy dużego: jest to wrodzony nam popęd do działania, który, jeżeli skierujemy do poważnej, użytecznej pracy, przynosi nam spokój i zadowolenie — w przeciwnym razie, budzi w nas ciągły niepokój, pragnienie i szukanie niewiadomo czego, czyli, jednym słowem, nudę.

Helusia przygotowywała właśnie w jadalnym pokoju owoce dla spodziewanych gości, gdy wszedł Guccio, i rzuciwszy się na fotel z biegunami, zaczął się gwałtownie kołysać.

Helusia była zupełnie inną, niż braciszek, tak pod względem powierzchowności, jak i charakteru. Starsza od niego o lat parę i nad wiek wyrosła, wyglądała zdrowo, jędrnie i nie chorowała nigdy. Była może zbyt tęgą i zbyt rumianą; to też ruchy jej, choć zręczne, ani w połowie nawet nie miały w sobie tej lekkości i wdzięku, jakimi odznaczało się każde poruszenie Guccia. Twarzyczkę miała okrągłą, sympatyczną, oczy

podobne do oczu brata, spoglądające pogodnie, i dwa duże płowe warkocze, spadające na plecy. Helusia była o tyle poważna, o ile Guccio żywy i roztargniony — a naukę lubiła o tyle, o ile on nie cierpiał. On rzadko kiedy pamiętał o czemś więcej od własnych przyjemności, nad których wynajdywaniem ciągle się mierzwił; a ona pamiętała o wszystkim i o wszystkich, tylko o sobie zapominała. Ona gotowa była zawsze innym służyć, a on ustawicznie czegoś od każdego żądał, wszystkich chciał mieć na swoje usługi — i mimo dobrego serca, był w gruncie samolubem.

Helusią ojciec zwykle nazywał małą gosposią — lubiła bowiem bardzo krzątać się około gospodarstwa i najszcześniejszą się czuła, gdy mogła w czem wyręczyć matczkę. I teraz oto, stojąc przed kilkoma koszykami, które jej przyniósł ogrodnik Maciej, wyjmowała z nich porzeczkę, poziomki, maliny, czereśnie i układała w mniejsze płaskie koszyczki, wyłożone winnymi liśćmi.

Gdy Guccio się zjawił, wybrała kilka najpiękniejszych rubinowych malin i ułożywszy je na okazałym liściu, jak na talerzyku, podała mu, dygając przytem z przesadną grzecznością.

— Dobra z ciebie siostrzyczka — rzekł chłopiec, zatapiając białe ząbki w soczystych owocach — co za szkoda, że jesteś „babą!“ Ale wiesz co, te chłopaki coś długo nie przyjeżdżają! Chciałbym, żeby tu już

byli. Maciej obiecał mi uciąć ze dwadzieścia długich lasek trzciniowych; zabawimy się w bitwę! Janek będzie dowodził jedną armią, a ja drugą. Zobacysz, jaka śliczna będzie zabawa! A czy tylko moja panna siostra przygotowała dosyć konfitur dla żołnierzy, żeby się mieli czem pokrzepić po walce? Żebym był mamą, tobym konfitury dawał codziennie na obiad zaraz po zupie, zamiast mięsa — a w miejsce nieznośnego rosółu, sok malinowy. Wyborne maliny! Czy nie masz tam jeszcze więcej?

— A gdybym też ja dla tego wojska porobiła stosowane kapelusze z papieru, z wielkimi kitami, co? — spytała figlarnie, podając mu owoce.

Gucio się aż zaczerwienił z radości.

— Zrobisz to dla nas, doprawdy! i kity będą się chwiały za każdym poruszeniem? Cóż to za wspaniały byłby widok! Moja złota, dobra, kochana siostrzyczko, doprawdy, tyś warta być chłopakiem!

Rzucił jej się na szyję i obsypywał ją gorącymi pocałunkami.

— Że stosowany kapelusz dużo dodaje męstwa żołnierzowi, temu nikt nie zaprzeczy — myślał Guccio, chodząc wielkimi krokami po pokoju — gdyby tak jeszcze mina dziarska, wąż potężny!.,.

— Szczęśliwi ci, którzy mają co pokręcać! — myślał sobie Guccio.—On nie miał nic podobnego, chociaż

czynił niemałe wysilenia, żeby choć kilka włosów wyciągnąć.

Zatrzymał się przed lustrem, umieszczonem nad kominkiem, i zaczął się sobie przypatrywać. Niestety, twarzyczka jego nie miała nic wspólnego z twarzą żołnierza, a piękne niebieskie marynarskie ubranie i szeroki kołnierz od koszuli, jeszcze więcej uwydatniały jej delikatność. Sprobował postawić marsa jednego, drugiego, ale to nic nie pomogło. Westchnął.

Melancholijne te rozmyślenia przerwał trzask z biczka. Guccio poskoczył do okna i zobaczył dwie bryczki, wjeżdżające na dziedziniec, a tam dalej na grobli, widać było jeszcze dwa drobne czarne punkciaki, zbliżające się w tumanie kurzawy.

Wybiegł na ganek na powitanie swoich gości, i zanim jeszcze zdążyli się rozebrać, już wiedzieli o laskach z trzciny i stosowanych kapeluszach, a nawet o konfiturach, placku z wiśniami i owocach.

Mamże opisywać, jak się chłopcy bawili? Nie, to się opisać nie da, chyba wyśpiewać w pieśni, ułożonej umyślnie na ich cześć! Aż się serce śmiało na widok waleczności i męstwa tych dzielnych wojowników! Nikt się nie chciał poddawać, przenosząc śmierć zaszczytną nad niewolę — a w przeważeniu zwycięstwa na tę lub ową stronę, wielka była trudność — bo polegli zmartwychwstawali i na nowo walczyli w szeregach.

Starsi przypatrywali się bitwie, odbywającej się na ogromnym trawniku, i przyklaskiwali walczącym, co podniecało jeszcze ich zapał. Gucio okazał zdolności dzielnego dowódcy; wszędzie pierwszy, narażał się na największy ogień i z pogardą patrzył na kule papierowe, padające dokoła niego, jak grad. Nieustraszość ta nawet na przeciwnikach czyniła wrażenie — i gdy nareszcie niespodzianym, zręcznie wykonanym obrotem udało mu się otoczyć i rozbroić wodza nieprzyjacielskiego, oba wojska zaczęły wydawać na jego cześć zapalczywe okrzyki.

Gucio w swoim stosowanym kapeluszu, ozdobionym niebieską kokardą, którą sobie wyprosił u matki, z kitą z drobno strzyżonego papieru, powiewającą wspaniale z wiatrem, z twarzą rozplamioną i oczyma błyszczącymi zapałem, wyglądał, jak rycerz z bajki—i, jak rycerz z bajki, ugiął kolano przed swoją mateczką, a ona młodemu zwycięzcy włożyła wieńiec dębowy na skronie. Zabrzmiały znowu okrzyki, ale młody bohater, syt sławy, zmusił wojsko do wiwatów na cześć mateczki, którą sobie wybrał za damę swoich myśli, jak słyszał, że to czynili niegdyś rycerze na turniejach, składając publiczny hołd niewiastom. Wołano więc: „niech żyje“! podnosząc w górę kapelusze, a echa powtarzały: niech żyje! niech żyje! Okrzyki te wzmogły się jeszcze, gdy wszyscy żołnierze ozdobieni zostali wspaniałymi orderami, przygotowanymi

zawczasu przez panią H. i Helusię ze złotego i srebrnego papieru. Jak mateczka ścisnęła i całowała swego synka, jak się cieszyła z jego tryumfów, zrozumie każdy, kto ma matkę.

Podczas gdy służba ustawiała stoły na pobojuwisku i nakrywała je do podwieczorku,

„Wsparci na mieczach, wojownicy stali  
I o wypadkach bitwy rozmawiali“.

Marsz przez dziedziniec do stołów był prawdziwym pochodem tryumfalnym. Najprzód szedł dobosz i drewnianą pałeczką bębnił w okazały czerwony bęben; za nim szli trębacze, trąbiąc na trąbach, utworzonych naprędce z dziesięciu palców. Dalej postępował Gucio w wieńcu dębowym, a za nim wojsko z podniesionymi trzciniowymi lancami. Przypatrywała się temu cała orkiestra skrzydlata: wróble, wiwilgi, szczygły, sikory, i wyśpiewywała fanfary na cześć walecznych rycerzy.

Gdy nareszcie wojsko przypuściło atak do półmisków, nie nie oparło się młodzieńczemu apetytowi — wszystko zostało zmiecione. Nie dawano pardonu ani pieczeni, ani sałacie, ani ciastkom, ani biednym kurczakom, z których każdy, trzymając pod jednym skrzydełkiem swoją wątróbkę, a pod drugim żołądek, wyglądał tak, jakby chciał umknąć nieopstrzeżenie napowrót do kurnika. Co było na placu, to



się uważało za nieprzyjaciela. Puhary, napełnione obficie wodą z sokiem porzeczkowym, malinowym i cytrynowym, krążyły gęsto, dowodząc, że, „kto dobry do wybitki, ten dobry i do wypitki“ — a za każdym wzniesionym toastem Janek, przyjaciel Gucia, strzelał z jego fuzyi, co wywoływało głośny zachwyty biesiadników.



### III.

## Gucia spotykają aż dwie niespodzianki.

Gdy chłopcy przypuszczali ostatni szturm do kosszyków z owocami, dały się słyszeć jakieś szczególne, z lasu blizkiego płynące dźwięki, podobne do odgłosu rogu myśliwskiego albo trąbki pocztowej. Spoglądano po sobie pytająco, ale nikt nie mógł odgadnąć, co by to znaczyło; nawet państwo H. nie wiedzieli, co myśleć — nikogo bowiem więcej nie spodziewano się dnia tego. Wszyscy zbliżyli się do sztachet, przez które widać było biały, piaszczysty pas drogi, wychodzącej z lasu i przerzynającej złociste łąny zboża. Jakoż wkrótce trąbka odezwała się wyraźniej, głośniej, a z lasu wysunął się duży, pakowny powóz, zaprzężony w cztery dobre konie.

— Ojciec! ojciec! — zawołała pani H., tknięta radosnem przecuciem, i wybiegła na drogę, a za nią pan H., Helusia, Guccio, panna Anna i służba.

Chłopiec nie posiadał się z radości. A więc dziadek, którego rzadko widywał, i o którym mateczka mówiła mu zawsze z uwielbieniem, przybywał nareszcie ich odwiedzić — co za niespodzianka! Przybywał w dzień imienin wnuka, a więc jakby dla niego — co za szczęście!

— Jak się macie, moje dzieci, jak się macie — mówił starzec, wysiadając ostrożnie z powodu swej nogi drewnianej, przy pomocy pana H. i jakiegoś młodzieńca przyjemnej powierzchowności, który z nim przyjechał.—Chciałem jeszcze raz odwiedzić was przed śmiercią, zobaczyć, jak tu żyjecie i jak mi wychowujecie wnuki. Przedstawiam wam pana Czesława T., który świeżo pozyskał stopień doktora filozofii w uniwersytecie krakowskim i zamierza poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu. Zaczny młodzieniec; jak go poznać, pokochacie go niezawodnie.

Córka tuliła się ojcu do piersi, dzieci całowały ręce, służba cisnęła się do kolan. Starzec wszystkich witał serdecznie i obejmował — najtkliwiej zaś i z widocznym wzruszeniem głaskał jasne główki dzieci.

Państwo H. chcieli ojca prowadzić do pokoju, ale oparł się temu, mówiąc, że grzechem byłoby siedzieć między czterema ścianami, gdy Pan Bóg dał dzień tak piękny. Przyniesiono więc z pokoju wygodne krzesło z poręczami i postawiono na ganku.

Piękną była postać tego dziadka: oczy niebieskie, pomimo siedemdziesięciu lat pełne jeszcze życia, patrzyły na świat pogodnie; włosy i wąsy białe, jak mleko, odbijały od twarzy czerstwej i rumianej. Pomimo nogi drewnianej, chodził starzec prosto, trzymał się krzepko, a zasobami siły moralnej i fizycznej mógł był kilku młodych obdzielić.

Gucio ze czcią patrzył w szlachetne oblicze, będące obrazem dzielnego, niczem nie dającego się przynębić ducha. Uwielbiał żołnierską postawę dziadka, jego twarz ogorzałą i wąsy sążniste. Ach, co za wąsy!

— No, bębny — mówił starzec — chodźcie tu do mnie, tu, bliżej, niech wam się przypatrzę, bo to już dwa lata przeszło minęły, jak was widziałem. Asińdzka, panno wnuczko, wyglądasz mi na dzielną dziewczynę: rumieńce są, ciała nie brak, oczy jasne, pogodne... a, i kluczyki za pasem. Dobrze, dobrze, kontent jestem z aśki: będzie z ciebie porządna kobieta. Ale waść, panie wnuku, coś mi się nie podobasz — mówił dziadek, patrząc bystro w twarz chłopca. — Hm, hm, w twarzy waszmości brak czegoś, czegoś, coby dzielnego chłopca znamionowało. Do kata, wyglądasz mi na babę!

Gucio oblał się cały purpurą. Nie mogło być dlań większej obelgi nad to, co usłyszał. Łzy mu w oczach stanęły.

— A to co? — pytał dziadek, wskazując na wie-  
niec, zdobiący głowę chłopca.

Mateczka wiedziała dobrze, jaką przykrość zrobi-  
ły Guciovi słowa dziadka, skorzystała więc z tego za-  
pytania, żeby opowiedzieć rycerskie czyny swego sy-  
na. Starzec, słuchając, wypogadzał się stopniowo.

— Jest krew w chłopcu, jest — szepnął do sie-  
bie — trzeba go tylko porządnie wychować. No, no,  
— rzekł głośno — nie płacz waść! mam tu dla ciebie  
podarunek, a prawdę mówiąc, dwa podarunki, ale  
o drugim dowiesz się dopiero później. Będzie to dla  
waszmości niespodzianka. Tymczasem bierz to!

I włożył Guciovi w ręce mały srebrny zegarek,  
z łańcuszkiem, misternie wyrobionym z tego samego  
kruszcza.

Chłopiec osłupiał. O tak wspaniałym podarunku  
nie marzył nawet. Zegarki, udające, że chodzą, miewał  
nieraz; ale żeby mieć zegarek, idący naprawdę, i to bez  
odpoczynku, taki sam, jaki mają dorośli panowie, tego  
się nie spodziewał! Co za wspaniały dar! Nie wierząc  
własnemu szczęściu, przykładął go kolejno to do je-  
dnego ucha, to do drugiego: zegarek szedł, nie stawał  
ani na chwilę: tyk, tyk, tyk. Ucałował gorąco ręce  
dziadka i pobiegł do towarzyszy, żeby się przed nimi  
pochwalić. Co to za przyjemność móżdżek naprzykład  
powiedzieć do kogoś: — Ciekawym, czy nasze zegarki  
równo idą? — i wyjąć swój z kieszonki z pozorną obo-

jętnością, dla porównania niby. Albo iść do kuchni, mówiąc: — Spóźniacie się z obiadem, Jędrzejowa; patrzcie, już dwunasta! — i ukazać zegarek zdumionym oczom poczciwej kobiety! Teraz, gdy ma zegarek i widzi, jak czas płynie, poprawi się z pewnością; będzie siedział od godziny do godziny przy książce, nie wstanie, żeby tam nie wiem co! Wyraźnie brakowało mu dotąd zegarka, żeby się uczył, jak należy. Tak, musi się poprawić, zacznie zaraz od jutra, i to dzięki zegarkowi. A mateczka! mateczka, jaka będzie szczęśliwa!

Pod wpływem nowego wrażenia zapomniał zupełnie, że go tylko co przyrównano do „baby“ i że miał z tego powodu ochotę płakać.

Chłopcom, którzy zrazu byli świadkami przywitania gościa z domownikami, a potem powrócili do swoich owoców, oczy się zaświeciły na widok zegarka: wydzielali go sobie z rąk, aż Gucio wołał, żeby mu nie rozerwali łańcuszka. Każdy chciał go wziąć w rękę: każdy musiał potrzymać przy obu uszach, żeby się dowodnie przekonać, że idzie: tyk, tyk, tyk. Zachwyt był trudny do opisania; najwięcej jednak oczarowany został zegarkiem przyjaciel serdeczny Gucia, Janek. Połowę życia oddałby bez wahania, byleby mógł go choć jeden dzień ponosić.

— Słuchaj, Guciu—rzekł, odciągając go na bok — u nas jutro będą ryby łapać w Czarnym stawie, wiesz,

pod lasem. Poproszę twojej mamy, żeby ci pozwoliła jechać ze mną. Będziemy łódką pływać, ryby łapać, a jak nałapiemy, to sobie każemy usmażyć. Nasza Kulasińska paradnie smaży, powiadam ci, tylko palce oblizywać! Dam ci moją wędkę i tyle robaków, ile tylko będziesz chciał; mam je naszykowane w dołku, w rowie. A ty mi za to pozwolisz na ten czas swojego zegarka, dobrze?

Łódką jeździć, ryby łapać, w to graj Guciovi. U państwa H. gospodarstwa rybnego nie było, bo mały staw w ogrodzie, jedyny w całej wiosce, do połowy zarośnięty był sitowiem. Płynęła wprawdzie tuż za wioską rzeczka, i Gucio jeździł po niej niegdyś łódką, a nawet zdawało mu się, że umie wiosłować; ale od czasu, gdy stary Antoni, który jego i Helunię woził, umarł, ojciec nie pozwolił im już z nikim puszczać się na wodę. Niezmiernie się więc ucieszył propozycją Janka, bo to obiecywało mu szereg ulubionych, a tak dawno nie doświadczanych rozrywek. Rzucił się przyjacielowi na szyję i wszystko przyobiegał.

Przyjemności, zaszczyty, dary i niespodzianki sypały się w tym dniu na naszego przyjaciela, jak z rogu obfitości. Był szczęśliwym nad wszelki wyraz. Czy tylko mama pozwoli jechać z Jankiem? Pozwoli, pozwoli, czemużby nie miała pozwolić! Mama zawsze jest rada, gdy Gucio się zabawi. Tak. Ale... poprawa... co z poprawą będzie?.. Hm, to jakoś nieładnie... Eh,

nauka nie ucieknie, a ryby drugi raz nieprędko łowić będą! Zresztą, to już jest prawie koniec miesiąca — czy nie lepiej zacząć poprawę od pierwszego? Wszystko już pójdzie regularnie, jak w zegarku. Ach, ten zegarek, jaki on śliczny!

Ale dziadek mówił o jakiejś drugiej niespodziance — co to może być? Co można ofiarować młodzieńcowi, posiadającemu konia, siodło, fuzyę i zegarek? Chyba frak! Tak, niezawodnie dziadek frak mu przywiózł, mały zgrabny fraczek z cienkiego czarnego sukna, zastosowany do jego kształtów i wzrostu. Drogi, kochany dziadunio!

Nadzieja posiadania fraka wprawiała go w szal niemal. Wprawdzie nie słyszał jeszcze nigdy, żeby dzieci nosiły fraki; ale ojciec powtarzał zawsze, że „nie trzeba dzieci lekceważyć, bo to są mali ludzie“. Gucio więc był małym człowiekiem, nie dzieckiem, a jako taki, miał prawo do wszystkiego, co wolno ludziom dorosłym. To tylko dziewczęta są dziećmi — mężczyzna jest dojrzałym już od urodzenia!

Widząc, że koledzy gorliwie jeszcze pracują nad opróżnieniem koszyków ze znajdujących się w nich owoców, pobiegł ku domowi, żeby, stanąwszy dziadkowi na oczach, przypomnieć o obiecanej niespodziance.

Wszyscy siedzieli na ganku, tak jak ich odchodząc zostawił, z tą różnicą, że stał tam teraz stół, zastawiony obficie, a przed dziadkiem butelka omszałego



wina i mała srebrna czarka. Na pozór żadnej innej zmiany nie było, jednakże wszyscy mieli twarze poważniejsze, niż poprzednio, a oczy pani H. były nawet trochę wilgotne, jakby od łez, tylko co uronionych. Dziadek coś prawił przekonywająco, a wszyscy zdawali się z nim zgadzać. Gdy Gucio się zjawił, rozmowa urwała się nagle. Tknęło go jakieś niedobre przeczucie, i stanął z pewną nieśmiałością na boku.

— Chodźno tu, chłopcze — odezwał się dziadek, popatrzysz na niego uważnie — chodź, mówiliśmy właśnie o tobie.

Gucio serce bić zaczęło.

— Dowiaduję się, że asan masz wstręt do książki i lubisz się tylko bawić, a o robocie ani dudu! Wiedziałem ja już o tem z listów twego ojca i zawczasu przygotowałem ci niespodziankę. Tak dłużej być nie może, bo wyrósłbyś na bałwana.

To mówiąc, wskazał na młodzieńca, który z nim przyjechał.

— Ten pan będzie tak łaskaw, że od jutrzejszego dnia rozpocznie z tobą naukę i żadnych wymówek słuchać nie zechce. Panna Anna była dla wasana za łagodna, zwyczajnie jak kobieta; przejdiesz w męskie ręce. Trzeba wziąć się w kupę, mości panie! za dwa lata musisz iść do szkół. Chłop duży, niedługo ojca przerośnie, a w głowie pustki. Słyszane rzeczy!

Gucio podczas całej tej mowy bladł coraz bardziej,

aż w końcu stał się tak białym, jak jego kołnierz od koszuli; a gdy się nareszcie skończyła, spojrział kolejno po obecnych z wyrazem bezgranicznej rozpacz, jakby szukając dla siebie obrońcy przeciw tyranii dziadka. Ale wszyscy mieli na twarzach wyraz przyzwolenia na zmianę, mającą zajść w dotychczasowem życiu Gucia. Najdłużej zatrzymał wzrok na matce, lecz i u niej zobaczył ten sam wyraz, pomimo że jej oczy patrzyły na syna z miłością i współczuciem.

Wszyscy go więc odstąpili, nikt nie przemówił za nim ani jednego słowa! był sam... sam jeden przeciwko wszystkim... Ach, to okropnie... Gdzie tu nawet myśleć o wyjeździe z Jankiem! Więc jego dotychczasowa swoboda skończyła się bezpowrotnie... O, jakże był nieszczęśliwym!

— Chłopcze — rzekł dziadek, który go z oka nie spuszczał — pamiętaj o tem, że wszystko, co żyje na świecie, służy ku ogólnemu pożytkowi; chciałżebyś ty jeden być pasożytem, korzystającym z darów Boskich, a nie dawać nic nikomu w zamian? Czy nie wstyd ci tego! Spójrzaj dokoła siebie, wszyscy pracują: twój ojciec od świtu do nocy w polu, matka cały dzień przy igle i gospodarstwie, panna Anna z Helusią przy nauce; służba w pocie czoła zarabia na swój chleb; nawet ten pies, co tam siedzi uwiązany na łańcuchu, pełni obowiązki stróża podwórzowego. Ty jeden korzystasz z pracy wszystkich i nie starasz cię o to, żeby się na-



Zakł. Fotoch. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa.

Długa jej szata czarna była jak noc



uczyć być także dla drugich pożytecznym; ty jeden jesz darmo chleb... Czy ci nie wstyd?

Krwawy rumieniec oblał twarz Gucia, lzy cisnęły mu się do oczu, ale wstrzymywał je mężnie, nie chcąc po raz drugi zasłużyć na nazwę „baby“. Stał w milczeniu, czekając, aż dziadek skończy, i przypatrując się machinalnie to źdźbłom trawy, rosnącej drobnymi kępami przy ścieżce, to kwiatom akacyi, sypiącym się za każdym poruszeniem gałęzi.

— Zaczerwieniłeś się asan, to dobrze! widzę, że mój wnuk jeszcze nie stracony, bo ma wstyd. Jesteś człowiekiem, chłopcze; pamiętaj, że każdy człowiek ma obowiązki do spełnienia i, aby je spełnić dobrze, musi się starać o nabycie rozumu. Będiesz się więc asan uczył! A teraz możesz iść się bawić.

Pan Czesław wyraził nadzieję, iż wkrótce zostaną dobrymi przyjaciółmi, i wyciągnął do Gucia rękę— ale chłopiec nie widział tego, czy też udał, że nie widzi, bo po żalości gniew go na pana Czesława ogarnął. Jak stał, tak się odwrócił i poszedł szybkim krokiem w ogród, chociaż mateczka, chcąc synka uściskać i pocieszyć, wołała na niego. Miał do niej żal głęboki, że nie stanęła po jego stronie, udał więc, że nie słyszy. Szedł w stronę zupełnie przeciwną tej, w której znajdowali się jego towarzysze — i gdy drzewa zasłoniły go przed ich oczyma, gdy oddalił się od miejsca zabawy, tak że już nawet gwar ich głosów przestał

go dochodzić, zatrzymał się i wybuchnął silnym płaczem.

Była to pierwsza większa bolesć w życiu Gucia: bo, choć się smucił serdecznie wówczas, gdy dwóch jego braciszków w białych, kwiatami ozdobionych trumienkach wywieziono na cmentarz — to własne jego życie dotąd było nieprzerwanym szeregiem zabaw i przyjemności, i myślał, że zawsze tak będzie. Tymczasem zetknął się niespodzianie z przykrą rzeczywistością. A taki był dzisiaj szczęśliwy!.. wygrał bitwę, dostał zegarek, cieszył się na zabawę u Janka, a nawet fraka się spodziewał. Wszystko pierzchnęło, jak sen, i to w chwili, kiedy miał takie dobre zamiary, gdy chciał poprawić się od pierwszego, następnego miesiąca. Dlaczego nie pozwolono mu ich spełnić? Obrzydzono mu naukę, a z nią i życie. Wszyscy się na niego uwzięli, żeby mu dokuczyć.

Ojca, siostrę i pannę Annę oskarżał o brak serca; dziadka o tyranię; matkę... O matce nie mógł nawet myśleć spokojnie; on ją tak kochał!..

Po napadzie żalu przyszedł napad złości. Wszystkie dobre uczucia opuściły Gucia, a wszystkie złe zaczęły wychodzić z kryjówek jego serca, w których były dotąd pochowane — schowane zaś najgłębiej samolubstwo wyszło na jaw w całej okazałości. Zapomniał o dobroci dziadka, o miłości rodziców, o zmartwie- niach, jakich im ciągle przyczyniał — a tylko pamiętał

o tem, że jemu sprawiono przykrość, że jego pokrzywdzono. Nawet rozsądek, towarzyszący mu podczas przemowy dziadka, któremu, mimo wszystko, w duchu nie mógł zaprzeczyć słuszności, odstąpił go teraz, bo nazwał naukę „głupstwem, umyślnie dla dręczenia ludzi wymyślonem“. Wolałby już pasać źrebięta na łące z chłopakami, niż się uczyć.

I mały złośnik, biegający podczas całej tej z sobą rozmowy wzduż i wszierz trawnika i rzucający się, jak ten ptak, co chce rozerwać więzy, pętające mu skrzydła, zaczął deptać jakieś niewinne żółte kwiateczki, wychylające się z trawy nieśmiało, z taką zawziętością, jakby to były książki, których nigdy naprawdę nie lubił, a które teraz zaczynał nienawidzić.

Po tym nieużytecznym wybuchu, rzucił się na murawę, zmęczony płaczem i wrażeniami. Trawa w tem miejscu rosła bujniej, niż gdzieindziej, do czego jej niezawodnie blizkie sąsiedztwo wody pomagało; puszysta była i miękka, niby zielony kobierzec. Gucio wyciągnął się i, podłożywszy rękę pod głowę, patrzył przez lzy na ostatnie blaski zachodzącego słońca, na opary, wychodzące z wody i rozpościerające się nad nią powoli, niby przejrzysta gaza. Monotonne brzęczenie muszek i koników wodnych działało na niego usypiająco. Przymknął oczy, chcąc choć na chwilę zapomnieć o swoim nieszczęściu, ale przeszkadzała mu latająca uparcie koło głowy mucha. Odpędził ją,

a patrząc, jak swobodnie wzbiła się w powietrze, zawołał z żalem:

— To drobne, nieme stworzenie nawet szczęśliwsze jest ode mnie, bo nikt mu nie krępuje swobody, ani nie daje guwernerów. Wolałbym być muchą, niż wieść takie nędzne życie! Co za szkoda, że czary, o jakich czytałem w „Bajarzu polskim“, nie istnieją! Niema na świecie wróżek, ani ludzi, przemienionych w zwierzęta, „czapek niewidek“, ani „butów siedmiomilowych“. Nic!

---



## IV.

### Gucio w jaskini smoka.

Zaledwie wymówił te słowa, z oparów, unoszących się nad stawem, wynurzyła się jakaś postać niewieścia i zbliżyła powoli ku niemu. Długa jej szata, czarna, jak noc, mieniła się iskrami, a z pod chustki, pokrywającej głowę, wymykały się siwe kosmyki włosów. Gdy się więcej zbliżyła, Guccio zobaczył, że twarz miała mocno pomarszczoną, wystającą brodę i ogromny nos, na którym opierały się szkła okularów. Oczy, patrzące przez wierzch tych okularów, miały blask nadzwyczajny, a takie były przenikliwe, że, widząc je skierowane na siebie, czuł ciarki, przechodzące mu po ciele. Postać ta stanąwszy przed nim, wyrzekła uroczystym głosem:

— Młodzieńcze! wypowiedziałeś życzenie swoje w godzinie, w której ja i moje siostry wróżki chodzimy po świecie. Jest to godzina czarów... Życzenie twoje spełni się, zamieniam cię w muchę. Pozostaniesz

nią dopóty, dopóki nie pokochasz pracy i nie staniesz się godzien być człowiekiem.

To powiedziawszy, dotknęła złotą laseczką jego czoła i zniknęła. Jak? było to rzeczą niepojętą, bo ziemia się bynajmniej pod nią nie rozstąpiła; w powietrzu tylko słychać było jakieś dziwne szmery i świsty.

Gucio patrzył i słuchał przerażony i nagle spostrzegł, że się z nim stało coś niezwykłego. Poczul się dziwnie lekkim, tak lekkim, że wietrzyk, podnoszący się od strony stawu, mógł go być unieść. Spojrzał po sobie: jego piękne niebieskie ubranie gdzieś znikło; zastąpiło je jakieś ciało szare, czarno pręgowane i nakrapiane w czarne centki; nos się przedłużył i przybrał formę misternej trąbki, węższej u góry, a szerszej u dołu. Z grzbietu, którego ciemna barwa wpadała w odcień błękitnawy, wyrastały skrzydełka przezrocyste, pokryte tu i owdzie drobnymi włoskami — a z piersi aż sześć nóg wyskoczyło. Słowem, wyglądał zupełnie, jak mucha. Chciał dotknąć ręką czoła, żeby przekonać się, czy to nie sen, ale natychmiast cofnął ją ze wstrętem: nie miał już rąk, tylko łapki kosmate, cienkie, jak niteczki!.. Ach, gdyby na tem był koniec!.. Ale on nawet oddychał inaczej; powietrze do płuc jego nie dostawało się, jak dawniej, ustami, ale przez małe otworki, znajdujące się tu i owdzie między obrączkami ciała.

Naprawdę więc przestał być człowiekiem, a był tylko małym, drobnym owadkiem, którego nawet nikt nie dojrzy między listkami trawy...

Rozpacz go ogarnęła: zaczął wołać wróżki i zakli-  
nać ją świętymi słowami, żeby odwołała swoje czary;  
ale usiłowanie to stało się dla niego tylko nowym po-  
wodem przerażenia. Głosu ludzkiego nie było sły-  
chać w powietrzu, gdy wołał, a z piersi jego wychodziło  
tylko słabe brzęczenie!...

— Straciłem więc wszystko, wszystko! — mówił  
do siebie, łkając—ojca, matkę, siostrę, dom! bo, choć-  
bym do nich wrócił, nie poznają mnie nawet i gotowi  
zabić... Ach, czemuż wróżka, odbierając mi postać  
ludzką, nie odebrała mi zarazem pamięci! ale pokuto-  
wać w ciele muchy, być czemś tak małym, tak nie-  
skończenie małym, a przytem czuć i myśleć, jak czło-  
wiek — co za męczarnia!... Ale co to jest? las jakiś?  
Gdzie ja jestem? Czy mnie wróżka przeniosła w kraj  
nieznany, czy co?

Zaczął się dokoła siebie rozglądać, a im więcej się  
patrzył, tem większe ogarniało go zdumienie. Drzewa,  
otaczające go, dziwne miały kształty, niepodobne w ni-  
czem do tych, jakie dotąd widywał — nie miały bo-  
wiem wcale koron z gałęzi. Z korzeni odrazu wyra-  
stały po dwa, trzy, cztery pnie i strzelały ku górze,  
równy, prosto, na podobieństwo olbrzymich cienkich  
iglic, lub wazkich sztywnych wstążek, a wszystkich

wierzchołki były lekko pochylone. Za najłżejszem poruszeniem wiatru cały las chwiał się i uginał tak bardzo, że aż prawie kładł się na ziemi.

Zdumienie Gucia było tak wielkie, że aż zagłuszyło na chwilę jego boleść; patrzył i usiłował zgadnąć, gdzie się znajduje: czy w dziewiczych lasach południowej Ameryki, o których czytał z panną Anną w ślicznych powieściach, opisujących przygody podróżników i myśliwych—czy może na jakiej wyspie Oceanu Spokojnego, nieznanej jeszcze podróżnikom, bo o takich drzewach, jakie tu widział, nie czytał jeszcze w żadnej książce.

Co zaś było najdziwniejsze, to że w szczególnym tym lesie nie widział wcale trawy ani mchu, a grunt, pokierszowany cały rozpadlinami, pełen był niebezpiecznych przepaści i jam, w które bardzo łatwo wpaść było można. Utrudniały też przejście walające się wszędzie bryły kamieni i małe przezroczyte, jak szkło, błyszczące kamyki, oraz całe pnie drzew, leżące w poprzek jedne na drugich, nawpół już uschłe.

Ciekawość popychała Gucia wgłąb tego lasu, ale nie wiedział, jak iść. Dotąd chodził zawsze na dwóch nogach, a teraz miał ich aż sześć... Dwie mogły mu wprawdzie zastąpić ręce, ale co robić z dwiema zbytecznymi? Probował chodzić, jak człowiek, ale przewracał się ciągle; podniósł więc jedną z gałęzi i zaczął się nią podpierać — lecz czuł, że to nie mogło trwać



Zakł. Fotoch. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa.

Podniósł łeb i zaczął węszyć powietrze



długo, bo go za bardzo męczyło. Gdy się jest muchą, trzeba chodzić, jak mucha. Powoli i z trudnością stąpał po tym gruncie niebezpiecznym, a cienkie jego nogi zaczepiały się ustawicznie o siatkę korzeni, którymi grunt był pokryty. Idąc, oglądał się i nasłuchiwał, czy nie usłyszy gdzie ryku lwa lub niedźwiedzia, albo nie ujrzy wyglądających z gęstwiny błyszczących oczu hyeny. A może dzicy ludzie zamieszkują ten kraj i polują w tym lesie? Jeżeli go strzała którego dosięgnie, zginie marnie zdala od swoich, nie uściskawszy nawet matki...

Biedny Gucio! zapomniał, że dzicy nie dojrzeliby nawet takiej małej muszki.

Zapuszczając się w las coraz dalej, widział przesuwające się z cichym, ledwie dosłyszalnym szmerem różne zwierzęta, niepodobne w niczem do zwierząt drapieżnych, jakie widywał na obrazkach. Zwierząt tych było mnóstwo, dużych i małych, dążących w różne strony: jedne szły prędko, inne wolno, za ledwie się posuwając; inne jeszcze podskakiwały, do czego pomagały im skrzydła, albo wysokie, zgięte mocno w kolanach nogi; inne nakoniec wchodziły w rozpadliny i znikwały w nich bez śladu. Najwięcej uwagę jego zwracały te, które swoją twardą, błyszczącą, do skorupy żółwia podobną powłoką sunęły po ziemi, niby małe ruchome domki.

Chwilami zdawało się Guciovi, że grunt, po którym stąpał, ruszał się i unosił, i strach go brał niewypowiedziany, bo nie wiedział, jak to sobie tłumaczyć. Może to były oznaki trzęsienia ziemi, mającej lada chwila otworzyć się, zdruzgotać las i jego w gruzach zagrzebać!... Sama ta myśl mroziła mu krew w żyłach — ale wkrótce spostrzegł, że to, co brał za oznaki zbliżającego się trzęsienia ziemi, miało zupełnie inną przyczynę. Ziemia otwierała się wprawdzie dokoła niego w różnych miejscach, gdzie wprzód dawało się czuć drżenie; ale zamiast wulkanicznego ognia, wychodziły z otworów jakieś węże czy zmię barwy cielistej i, pełzając, znikwały w głębi lasu. Przełknięty, drżący, uciekał, a największem w tej chwili jego pragnieniem było pragnienie ukrycia się w jakim bezpiecznym schronieniu.

Nareszcie drzewa zaczęły się trochę przerzedzać, i Gucio miał nadzieję, że już niezadługo wyjdzie na otwarte pole. Ale się zawiódł: las rozstąpił się tylko, jakby dla zrobienia miejsca górze, której łagodne stoki niczem nie były porośłe. Wyglądała ona tak, jakby ją ręka olbrzyma świeżo usypała, lub jakby całą jej powierzchnię przekopał świeżo rydel ogrodnika. Gucio jednakże nie zwrócił nawet na to uwagi: powodowany instynktem zachowawczym, spostrzegł obszerny otwór, znajdujący



się u stóp góry, i bez tchu prawie dopadł do niego, rad, że znalazł nareszcie dla siebie kryjówkę.

Gdy jednak po chwilowym wypoczynku przemiął przestraszony, wywołany widokiem nieznanymi zwierzętami, bezpieczeństwo schronienia, jakie sobie wynalazł, wydało mu się cokolwiek wątpliwem.

— Kto wie, czy nie trafiłem do jaskini rozbójników — rzekł do siebie — ale do lasu nie wrócę za 'nie w świecie! Wolę być zabitym przez zbójców, niż żywcem zjedzonym przez dzikie zwierzęta. Zresztą, po co mieliby mnie zabijać, jeżeli nie mam przy sobie pieniędzy?

Ciekawość zwiedzenia jaskini przemogła wszystkie jego obawy. Trzymając się ściany, zaczął posuwać się w głąb ostrożnie. Ciemność prawie zupełna tam panowała: światło przez otwór wpadało tak słabe, że całe wnętrze pograżone było w zmroku, i długa chwila minęła, zanim oswoił się z niem i zaczął rozróżniać otaczające go przedmioty. Z jaskini wiódł w głąb szeroki, wygodny korytarz, którego ściany, zbudowane z mocno ubitej ziemi, podobne były do nierównego, chropowatego muru. Powodowany wzmagającą się ciekawością i ośmielony ciszą, panującą w podziemiu, zapuszczał się coraz dalej.

Po kilku minutach takiej drogi, korytarz nagle się rozszerzył, i Guccio posłyszał szmer dziwnego rodzaju, jakby kto drapał ziemię pazurami i odrzucał ją na

stronę z nadzwyczajną regularnością. Mały nasz podróżny przystanął i zaczął przysłuchiwać się temu szmerowi, wstrzymując oddech.

Wtem ze sklepienia spadł kamyk, a łoskot, jego upadkiem sprawiony, rozległ się głośnie echem w podziemiu; wraz z kamykiem odpadło także trochę ziemi, w skutek czego zrobiła się w górze szczelina, a przez szczelinę przedarł się promyk światła dziennego. Gucio zobaczył teraz dużą pieczarę, a w niej potwora, którego sam widok przeraził go. Olbrzymie jego ciało pokryte było ciemno-brunatnem aksamitnem futrem; ogon miał krótki, pysk zakończony długim ryjem. Oczów wcale nie było widać: potwór machał dokoła siebie ziemie ryjem, jak ślepy.

Guciovi przypomniała się legenda o smoku, niegdyś żyjącym w jaskini pod górą Wawel, w Krakowie; i, zapomniawszy że jest tylko muchą, począł żałować, że nie wziął z sobą barana, wypchanego słomą i siarką, żeby, jak drugi Krakus, potwora zgładzić ze świata. Bohaterskie te myśli nie dodały mu jednak wcale odwagi.

Potwór kopał ciągle pazurami ziemie, jakby w niej czegoś szukając, i odrzucał ją łapami na boki i poza siebie. Zdawało się jednak, że poczuł, iż nie jest sam, bo przerwał robotę, podniósł łeb i zaczął węszyć powietrze.

— Spostrzegł mnie, zginałem! — szepnął do siebie Gucio, ledwie żywy — on mnie połknie!

Potwór musiał mieć bystry słuch, bo, obróciwszy się ku niemu, gniewnie zamruczał:

— Kto tu jest i czego chce?

— To ja — wyjąknął Gucio — przepraszam pana bardzo, panie smoku. Wszedłem tu zupełnie przypadkiem... nie miałem zamiaru panu przeszkadzać. Bardzo przepraszam... ja stąd zaraz odejdę. Niech mnie pan nie połyka! jestem mały i chudy... Mama powiada, że wyglądam, jak chrabąszcz!

— A, a! człowiek pokutujący! — mruknął potwór do siebie. — Możesz być spokojny: nicby mi nie przyszło z twojej śmierci. Ja bardzo lubię chrabąszcze, ale ty wcale nie jesteś podobny do tego smacznego stworzenia: tyś taki mały, że, choćbym cię zjadł, to bym nawet nie poczuł, jak smakujesz. Wreszcie dowiedz się, że cię nie wolno nikomu zabijać. Masz na sobie znak czarów, odróżniający cię od much zwyczajnych: czerwoną czapeczkę na głowie. Kto nosi takie znaki, temu ani broń, ani paszport w podróży niepotrzebne. Nikomu nie wolno wyrządzić krzywdy zaczarowanemu; przeciwnie, dawać pomoc, jeżeli jej potrzebuje, i udzielać objaśnień. Nie zgub tylko swojej czapeczki, bo wtedy byłaby ci wielka bieda, co chwila bowiem mógłbyś być narażony na niebezpieczeństwo utraty życia.

Gucio sięgnął łapką do głowy i przekonał się, że ma istotnie czerwoną czapeczkę, dającą się zdejmować, choć mocno do głowy przyczepioną; ciekawy był tylko, jak niewidomy smok mógł to widzieć. Nie był on jednak niewidomy. Gucio zobaczył to teraz, gdy potwór obrócił się ku niemu. Dwoje oczu maleńkich błyszczało z pośród sierści, w której były ukryte.

Świadomość, że znaki czarów bronią go od wszelkiego niebezpieczeństwa, w jednej chwili wlała w Gucia ogromne męstwo. Z odwagą, jakiejby się sam Krakus nie powstydział, zbliżył się do potwora i zapytał, czy on czasem nie jest potomkiem tego samego smoka, co mieszkał pod Wawelem i miał siedem głów.

Potwór roześmiał się na całe gardło takim grubym głosem, że naszemu bohaterowi, pomimo męznego usposobienia i czapki bezpieczeństwa, zrobiło się niemiło koło serca.

— Nie, mój chłopcze — odmruczał — nie pochodzę z tak wysokiego rodu. Nie jestem wcale smokiem, za jakiego mnie bierzesz, ale skromnym pospolitym kretem, pomocnikiem rolnika. Jesteś zdumiony tem odkryciem i dziwisz się, że są krety takie ogromne; ale przypomnij sobie, że jesteś muchą, małym, drobnym owadkiem, i że przy twoim wzroście wszyscy więksi od ciebie wydają się olbrzymami. Założyłbym się, że trawę wzięłeś przez pomyłkę za las, a moje

kretowisko za ogromną górę. Tak, mój chłopcze, jestem tylko kretem, skromnym robotnikiem podziemnym, nie większym od szczura.

Słowa te rozświeciły Guciovi w głowie. Zrozumiał teraz swoją omyłkę, która go takiego strachu nabawiła i niedawnego zwycięzcę, ozdobionego wieńcem dębowym za waleczność, zagnała do dziury, jak zająca. Wstydził się kreta i gniewał na siebie za tchórzostwo i brak przytomności umysłu. To też, chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot, zapytał:

— Powiadasz pan, że jesteś pomocnikiem rolnika; jakimże to dzieje się sposobem?

— Wykopuję z ziemi robaki, podgryzające korzenie drzew i roślin. Ludzie narzekają wprawdzie czasem, że im szpecę ogrody memi robotami, ale sami przyznają, że usługi, jakie im oddaję, są stokroć większe, niż mniemane szkody.

— Czy się panu ta robota nie przykrzy? Jeżeli cię nikt nie pilnuje, to mógłbyś sobie często odpoczywać.

Kret popatrzył na niego surowo.

— Nikt nie pilnuje — odpowiedział — ale widzi mnie Bóg, którego oko przenika wszystkie skrytości. On nie przeciąża robotą żadnego stworzenia, ale przy mierza ją do sił i zdolności każdego. Ja też pracuję, ile zdołam, a mądrość Stwórcy dała mi jeszcze, jako silniejszy do tego bodziec, ogromny apetyt. Zjadam

tyle codziennie upolowanej zwierzyny, ile sam ważę. Wreszcie jakież prawo miałbym korzystać z pożywienia, napoju, powietrza, mieszkania, gdybym też choć w części nie przykładał się do ogólnego pożytku? Kto nic nie robi, nie wart żyć.

Po raz to drugi już Gucio zawstydził się i zmieształ. Kret niechęcący powiedział mu gorzką prawdę, a co więcej, okazał się wyższym od niego, człowieka. Ale że Gucio nie lubił prawdy, zwłaszcza jeżeli miała jakiś związek z pracą, więc znowu usiłował zwrócić rozmowę na co innego, zapytując kreta, czy ma żonę i dzieci.

— Ożeniłem się w tym roku — odrzekł — i mam aż ośmioro drobiazgu. Jeżeli chcesz, zapoznam cię z moją rodziną. Wiesz co! nie znasz tych podziemi, więc błądziłbyś tylko po omacku. Siadaj na mnie, będziemy prędzej na miejscu.

Gucio odrzucił kij, który mu tylko przeszkadzał, i, bez namysłu wskoczywszy na grzbiet zwierzęcia, powiedział sobie, że siedzenie jest miękkie i wygodne; żeby nie zlecieć, trzymał się mocno włosa. Niezwykła ta jazda bawiła go, jak każda nowość.

Kret sunął szybko korytarzem w głąb; z powodu swoich krótkich nóg, toczył się raczej, jak kula, niż biegł, piersią dotykając ziemi. Od czasu do czasu przystawał, węszył i, jeżeli blisko gdzie zwietrył pędraki, kopał z zapałem, zapominając o swoim jeźdźcu;

zatrzymywał się też przy małych studzienkach, pełnych zaskórnej wody — które sam pobudował w bliskości mieszkania — i gasił pragnienie. Po kwadransie takiej przerywanej jazdy, przybyli nareszcie do miejsca, i Guccio zeskoczył ze swego podjezdka.

Znajdowali się w kotlinie, wysłanej starannie mchem, sianem i włóknistymi korzonkami. Na miękkim posłaniu siedziała poważnie pani krecina, a koło niej ruszały się niezgrabnie małe kreciaki, nie większe od ziarenek bobu.

— Moja żono — przemówił kret — przyprowadzam ci człowieka pokutującego, który pragnie zwiedzić nasze mieszkanie.

Guccio, zawsze pełen uprzejmości, zdjął czapeczkę i ukłonił się z wdziękiem, ale jejmość nie raczyła mu nawet kiwnąć głową, tylko odrazu na niego napadła.

— Cóżes to, chłopcze, przeszkrobał, co? No, przyznaj się!

— Mówmy o czem innym, łaskawa pani — rzekł, obrażony mocno tą niedelikatnością — czy to jest jedyny pokój państwa?

— Ale gdzie tam — mruknął mąż, który, jako troskliwy o wygodę domowników gospodarz, rad się był przed człowiekiem swemi urządzeniami pochwalić. — To dopiero sypialnia; tu obok jest salon, wsparty na pochylonych nieco do środka kolumnach, a tam dalej śpizarnia, pełna zapasów upolowanej zwierzyny.

Znajdziesz w niej glisty, ślimaki, stonogi, a nawet i grubsze sztuki: kilka małych tłustych myszek i jaszczurkę. Z tych pokoi trzy chodniki wiodą do wyjścia na zewnątrz, abyśmy w razie napadu nieprzyjaciela mogli sobie zapewnić odwrót, a te jeszcze są połączone z pięcioma innymi.

Gucio podziwiał sztuczną budowę podziemnych sal, korytarzy, chodników i zaułków i dziwił się zmyślności kreta, umiającego tak wszystko rozumnie obmyśleć i urządzić.

— Chodnik, który widzisz na prawo, jest bardzo wygodny — mówił kret — i prowadzi pod drzewo, znajdujące się niedaleko stawu. Jeżeli chcesz już wyjść na powierzchnię ziemi, to radzę ci wybrać tę właśnie drogę. Ja już dalej nie mogę ci towarzyszyć, bo kto wie, czy tam przy wyjściu nie czatują na mnie nieprzyjaciele kreciego rodu: pies, bocian albo kuna.

---



## V.

### Gucio zabiera znajomość z wróblami.

Gucio podziękował kretowi za objaśnienia i, udawszy się we wskazanym kierunku, wydostał się wkrótce na świat. Znalazł się w tym samym lesie, z którego przed godziną uciekał; ale teraz wiedział już, że to jest tylko wysoka, bujna trawa — że dzikie zwierzęta, których się obawiał, to są robaczki i owady, a owe bryły kamieni to tylko drobne kryształki piasku. Po godzinnem przeszło przebywaniu pod ziemią, czuł się teraz odurzony świeżem powietrzem i olśniony światłem dziennem, oślepiającym go prawie. Chwilę stał, jak nieprzytomny, nareszcie przypomniał sobie, że ma skrzydła; poruszył nimi i, uniósłszy się w górę, zatoczył kilka niezgrabnych kręgów i opadł na gałąź wspaniałego rozłożystego drzewa.

Pierwsza ta próba latania zmęczyła go; odpoczywając, patrzył z góry na ów las mniemany i myślał, że dawniej, gdy był jeszcze człowiekiem, nigdy nie przy-

szło mu do głowy przypatrywać się źdźbłom trawy, ani zatroszczyć się o los tych drobnych istot, których milionami ziemia jest przepelnioną. A jednak one żyją, a więc muszą mieć także swoje potrzeby, swoje cele, swoje radości i cierpienia!.. Czy zastanowił się kiedy nad tem? Gdzie tam! Teraz dopiero, gdy widział życie kreta, przekonał się, że i od zwierząt nauczyć się czegoś można, i że niesłusznie jest pogardzać mniejszymi od siebie. Wszakże on sam od kilku godzin był tylko muchą!..

Rozmyślając nad swoim położeniem, powiedział sobie, że rozpaczać nie przyda się na nic. Najgorętsze łyzy nie przywrócą mu dawnej postaci; sama tylko wola wróżki może to sprawić, a ona powiedziała mu, że będzie muchą, „dopóki nie pokocha pracy i przez to nie stanie się godzien być człowiekiem“. Jak do tego przyjdzie, nie pojmował zgoła, ale miał nadzieję, że jego niedola musi się kiedyś skończyć. Tymczasem ciekawość brała górę nad jego zmartwieniem: otwierał się przed nim świat, niedostępny gołemu oku człowieka, świat tajemniczy, pełen tem większego uroku, że nieznany mu jeszcze. Już samo drzewo, na którym odpoczywał, było krajem cudów, zdolnym co chwila wywoływać okrzyki podziwu i zachwytu. Rosły na niem przepyszne mchy, miększe i puszystsze, niż aksamit: rosły grzyby najrozmaitszych barw i dziwaczne porosty, przechodzące kształtami najśmielsze utwory

wyobraźni, a wszystko zamieszkałe przez istoty, będące w ustawicznym ruchu. Snać, drobne to społeczeństwo mnogie miało sprawy i interesy.

Tak rozglądając się, dziwiąc i zatrzymując co chwila, Guccio przechodził z gałęzi na gałąź, dążąc coraz wyżej i coraz nowe czyniąc odkrycia; idąc, żałował, że przyjaciel jego Janek, ani siostrzyczka Helusia, nie mogli tego widzieć. Kiedyś, gdy pokuta jego się skończy, a wróżka przywróci mu ludzką postać, opowie im wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, ale czy będą chcieli mu wierzyć? Dziwiło to Guccio bardzo, że wszystko teraz widział lepiej i dokładniej, niż wtedy, gdy był człowiekiem, jakby mu kto włożył okulary ze szkłem bardzo powiększającym. Nie okulary to jednak nosił Guccio, ale oczy miał inne, oczy muchy, składające się z ogromnej liczby małych sześciennych oczek, i one to widziały wszystko z taką nadzwyczajną dokładnością. Nie wiedział on o tem, jak równie i o innych właściwościach wielu owadów, do których teraz i sam należał. Wciąż się więc dziwił samemu sobie. I to go także zdumiewało, że, chociaż szedł od spodu gałęzi, więc do góry nogami, to jednak nie spadał. Jego cienkie, delikatne stopy opatrzone były na końcach pazurkami, czepiającymi się chropowatości kory, a znajdujące się między tymi pazurkami maleńkie wilgotne poduszeczki przylegały do każdej powierzchni równie silnie, jak pazurki. Gu-

cio nie miał nóg tak urządzonych, gdy był w postaci człowieka; ale wiedział dobrze, że nie mógł wówczas chodzić po ścianie i po suficie, choć nigdy się nie zastanawiał, czemu nie może dokazać tego, co umie każdy prawie robaczek. Dopiero teraz chciał nad tem pomyśleć, tylko że w tej chwili nie miał czasu. Gdy mu wróżka postać ludzką przywróci, zapyta się o to mędrszych od siebie i będzie się pilnie dowiadywał o wszystkie szczegóły, dotyczące jego ciała, równie jak i ciała i życia wszelkich stworzeń żyjących.

Obecnie cienki, piskliwy świergot ptaszków, odzywający się z wierzchołka drzewa, zwrócił jego uwagę. Podążył w kierunku słyszanych głosów i wkrótce znalazł się przed ślicznem okrągłym gniazdeczkiem, zawieszonem między dwiema blisko siebie rosnącemi gałęzmi. Siedmioro malutkich szarych łebków, odznaczających się wielką ruchliwością, wyglądało z gniazdka, jakby oczekując czegoś niecierpliwie, a tuż obok na gałęzce matka tego drobiazgu zajęta była wygarnianiem z pod kory robaczek, bacząc przytem pilnie na każdy ruch dzieci i za każdym niemal szelestem oglądając się i nasłuchując.

— Ciekaw jestem, czy te ptaszki mają jeszcze ojca, czy też pani wróblowa jest wdową — myślał Gucio, przypatrując się z zajęciem całej rodzinie.

W tej chwili przyleciał skądś stary wróbel, a w gniazdku powstał na jego widok ogromny ruch

i gwar, i jednocześnie wszystkie siedem dziobków otworzyły się szeroko. Przyniósł on widać w gardziółku niemały zapas ziarna uzbieranego, bo wszystkich nakarmił, poczem zajął się także wyszukiwaniem robaczków w spękaniach kory, i oboje z żoną znosili je dzieciom, dopóki się nie nasyciły.

Gucio, ciekawy, co też za istoty mogły żyć w tak ciasnych mieszkaniach, jak szpary w korze, przesunął się trochę i usłyszał, jaki pani wróblowa powiedziała do swego towarzysza:

— Patrzno, mężu, czy widzisz tę małą błękitną muszkę z gatunku mięśniczków, co się wlecze, jak kalleka? To jakieś niedołęzne stworzenie, schwytajmy ją!

— Czyżby o mnie mówili? — rzekł do siebie Guccio z pewną niespokojnością, dziwiąc się, że świergot ptaków był dla niego równie zrozumiały, jak mruczenie kreta.

Wróbel popatrzył na niego uważnie i odrzekł:

— To nie jest mucha zwyczajna, tylko człowiek pokutujący. Czy nie widzisz, że ma czerwoną czapeczkę na głowie?

— Ach prawda! niechże sobie żyje. Musi to być wielkie ladaco, kiedy wróżka przemieniła go w tak małego owada.

Gucio, mocno dotknięty tem szorstkiem, ale, niestety, trafnem określeniem swej moralnej wartości, szepnął z gniewem:

— Wszystkie baby są impertynentki; wróblowa nie lepsza od kreciny.

Musiał się czegoś domyślać wróbelek, bo zbliżył się doń i zapytał ze współczuciem:

— Powiedz mi, biedny chłopczyku, kto jesteś i za co skazano cię na tak ciężką pokutę? Widuję nieraz młodzież w położeniu podobnem twojemu, ale bywają to motyle, koniki polne, pszczoły; muchę dopiero pierwszy raz spotykam. Musiałeś popełnić ciężką winę.

— Nie chciałem się uczyć — szepnął Guccio po chwilowem wahaniu. — Powiedz mi pan, czy takie przemiany z ludźmi często się przytrafiają?

— Od czasu do czasu. Przed godziną właśnie odpoczywała tu u mnie mała księżniczka Joasia, przemieniona w pszczołę za niegrzeczne obchodzenie się ze służącemi. Służy ona teraz u królowej pszczoł za popychadło i musi robić wszystko, co jej każą. Joasia jednak miała przy swoich wadach przynajmniej tę zaletę, że uczyła się dobrze. Teraz nie dziwię się, że wróżka tak surowy wydała na ciebie wyrok; próżniactwo bowiem jest jednym z największych przestępstw i źródłem wszystkiego złego. Ale gdzie mieszkają twoi rodzice?

— Mój ojciec jest właścicielem tej wioski.

— Znam go, znam, bo go codzień widuję. Pracowity człowiek! od rana do wieczora w polu. Dziwna rzecz, że syn jego jest próżniakiem!

Słowa te bardzo obraziły Gucia i rozdrażniły. Wszyscy dziś prawili mu niegrzeczności.

— Mój panie — rzekł, podnosząc z godnością głowę, mało co większą od dużego łebka szpilki — proszę mi nie ubliżać! Wyrzucasz mi pan moje lenistwo, choć sam nic nie robisz. Ptaszki przychodzą na świat już ubrane, a zboże zbierają, nie orząc ani siejąc, zabierając poprostu cudzą własność. Całem waszem zajęciem jest latać w powietrzu i śpiewać.

— Mylisz się, chłopczyku, jeżeli naprawdę mnie masz, że ja i moi krewni wiemy żywoć bez pracy — odparł wróbel poważnie. — Nie siejemy wprawdzie ani orzemy, ale tępimy szkodliwe rolnictwu owady i gąsienice. Bez naszej pomocy rolnicy nie zebraliby nawet połowy plonu, a lasy zmarniałyby, ogołoczone z liści. Widzę po tobie, że mi nie wierzysz: zaczekaj chwilkę, zaraz cię dowodnie przekonam.

To powiedziawszy, ptaszek zerwał dziobkiem liść jeden, cały podziurawiony, i położył przed Guciem.

— Patrzej, co za straszne spustoszenie zrobiła tu gąsienica — powiedział — wygryzła wszystką zieleni ze środka, pozostawiwszy tylko nerwy. To już nie liść, to szkielet!

Gucio milczał zdziwiony, spoglądając kolejno to na wróbla, to na liść, na którym wila się gąsienica, ściągając i rozciągając czarne pierścienie swego ciała,

upstrzone tu i owdzie białemi centkami i kępami ciemno-żółtych włosów.

— Ta niszczycielka nazywa się pierściennica — rzekł wróbel — czy widziałeś ją kiedy?

— Widziałem — odrzekł Gucio — ale nie przypuszczałem, żeby pożerała liście.

— Liście są dla drzew tem samem, czem dla ludzi i zwierząt płuca — świergotał ptaszek dalej, podczas gdy pani wróblowa, schwyciwszy gąsienicę i zerwawszy na sztuki, dawała je dzieciom do zjedzenia. — Drzewo niemi oddycha i czerpie z powietrza wilgoć, zasilającą cały jego organizm; gdy zatem płuc tych mu braknie, musi umierać na suchoty. Wypędź nas z tej pocziwej gruszki, rodzącej wyborne soczyste owoce, a zobaczysz, że w przyszłym roku ojciec twój każe ją ściąć na opał. Nie dość na tem: jajka pierściennic i poczwarki rozmnożą się na niej tak niezmiernie, że zniszczą cały ogród.

Gucio słuchał, nie spuszczając oczu z wróbelka; ten niepozorny szaraczek odkrywał mu dziwne rzeczy.

— Gdybyś, chłopczyku, przyjrzał się kiedy na wiosnę, jak całymi legionami uderzamy na hordy niszczycieli, pożerających chciwie młodziutkie pędy zbóż, zrozumiałbyś, że jesteśmy użytecznymi robotnikami, ratującymi od głodu człowieka, który częstokroć odpłaca się nam niewdzięcznością, załując odrobiny ziar-



na. Strzela on do nas, chwyta w sidła i niszczy nasze gniazda!

W historyi ptasiego rodu znajduje się niejedna krwawa karta. Sto lat przeszło temu Fryderyk Wielki, król pruski, o którym musiałeś słyszeć, sławny z zaborów i skąpstwa, osądziwszy, że zawiele zjadamy mu zboża, nie tylko wydał wyrok, zabraniający wróblom przebywania w granicach jego państwa, ale nawet nałożył cenę na nasze głowy, jakgdybyśmy byli przestępcami politycznymi. Wymordowano nas wtedy setki tysięcy, ale zaraz w następnym roku robactwo tak bardzo zniszczyło plony rolników, że Wielki ów Fryderyk odwołał wyrok i dawał nagrody pieniężne mieszkańcom swego państwa za każdego sprowadzonego doń żywego wróbla. Garstka wychodźców wróciła wtedy z tryumfem. We Francyi, w Węgrzech i we Włoszech cierpieliśmy także czas jakiś podobne, jak w Prusach, prześladowanie. Wypędzano nas, a potem znów gwałtem sprowadzano, zachęcano wszelkimi sposobami do osiedlania się, a nawet urządzano nam na drzewach gotowe już mieszkania...

— Co za dziwne koleje losu! — odezwał się Guccio, słuchający z wielkiem zajęciem tego opowiadania — nigdybym nie pomyślał, że wróbel jest przyjacielem i dobroczyńcą człowieka!

— Człowiek ma dużo przyjaciół — świergotał wróbel dalej — ale sam jest największym dla siebie

nieprzyjacielem. Dopóki nie mieliśmy dzieci, odbyliśmy oboje z żoną kilka podróży po kraju, i to, cośmy widzieli, napełniało nas smutkiem i trwogą o jego przyszłość. Dawniej rozpościerały się tu obszerne lasy, których gęste podszycie dawało ochronę tysiącom ptaków; teraz, gdzie spojrzeć, drzewa wycięte w pień, kraj coraz bardziej pustoszeje, a nasze legiony, pozbawione przytułku, przeredzają się straszliwie. Wkrótce zabraknie człowiekowi sprzymierzeńców, walczących wiernie w obronie jego pól. Coraz częściej rozchodzą się wieści o nieznanym dotąd w Polsce gatunkach chrząszczyków i much, niszczących pola i lasy. Obym się omylił, ale to są zwiastuny klęsk, na które niedługo będziemy czekali!...

Tu wróbel westchnął głęboko i mówił dalej:

— Najcięższą porą roku jest dla nas zima: ginimy z głodu tysiącami. Gdyby człowiek chciał nam rzucić okruchy chleba ze swego stołu, te okruchy, które wyrzuca codzien w śmiecie, uratowałby tysiące głodnych, bez żadnego uszczerbku dla siebie.

— Czy to państwo nie wyjeżdżacie w jesieni zagranicę? — zapytał Gucio.

— Cała arystokracja wyjeżdża — odpowiedział ptaszek — kukułki, słowiki, jaskółki, bociany, żorawie; my, szaraczki, pilnujemy domowej zagrody. Ale ty musisz być strudzony, chłopczyku, bo widzę, że się ledwie trzymasz na nogach. Wejdz, proszę, do mojej

chatki i odpocznij tak długo, jak tylko będzie ci się podobało. A może jesteś głodny? Mógłbym cię poczęstować jakim tłustym robaczkiem.

— Nie mów mi pan nawet o tem — odrzekł Guccio ze wstrętem. — Wolałbym umrzeć z głodu, niż dotknąć się czegoś podobnego.

— To może pozwolisz jajko pierściennicy? jest smaczne, bardzo strawne i nie obciąża żołądka. Moja kuzynka, sikorka, przepada za tym przysmakiem. Zjada ona codziennie po kilka tysięcy tych jajeczek.

— Winszuję jej apetytu—pomyślał Guccio, wstrząsając się na tę propozycję i odrzekł: — Bardzo dziękuję, nie będę nic jadł. Pozwólcie mi tylko państwo trochę u siebie odpocząć.

— Z całego serca!

Wszedłszy do gniazdka, Guccio z podziwieniem przypatrywał się jego misternej budowie i różnorodności materiału, z jakiego zostało sporządzone! Bo też i czego tam nie było! Zdźbła słomy i siana, delikatniejsze włókna korzeni, skrawki od sukien, kawałki waty, nitki, bawełna, sierść, szczecina, mech, a wszystko razem ułożone w całość z pewnym planem, ładem i troskliwie wewnątrz wysłane puchem, który może ptaszyna wydzieraa sobie z piersi, żeby dzieciom urządzić miękkie i ciepłe postanie. Rozważając, ile ta budowa kosztowała pracy, jak każdy zosobna kawałek materiału budowlanego musiał być przez małego

budowniczego z trudem daleko nieraz wyszukiwany i w dziobku przyniesiony, Gucio czuł się mimowolnie wzruszony i zawstydzony pracowitością swego uprzejmego gospodarza. O ileż on, człowiek, niższy był od tego ptaszka!

Ostatnie blaski słońca zniknęły już zupełnie; małe ptaszyny pochylały senne główki, a matka, rozpostarłszy nad niemi skrzydła, tuliła je do siebie i osłaniała przed chłodem wieczornym. Gucio wspomniął sobie swoją mateczkę; wspomniął, jak co wieczór pochylała się nad jego łóżeczkiem, okrywała troskliwie i, ucałowawszy synka na dobranoc, kreśliła mu krzyżyk na czole, żeby Bóg strzegł go przez noc, a Anioł stróż przyniósł sny przyjemne i wesołe. Czuł, że go łyżaczynają dławić, że mu się serce wydziera do domu, i zapragnął zobaczyć rodziców i Helusię, chociaż zdaleka. Jeżeli okna jeszcze otwarte, wleci do pokoju i zobaczy, co się dzieje. Czy już spostrzeżono jego zniknięcie? Pewnie go szukają na wszystkie strony, nie domyślając się nawet rzeczywistego nieszczęścia. Co to będzie, gdy go nie znajdą!

— Żegnaj cię, poczciwy ptaszku — rzekł do swego gospodarza. — Naucz mnie, jak mógłbym ci się odwdzięczyć za gościnność. Dziś wprawdzie jestem tylko małym owadkiem, ale mam nadzieję, że kiedyś pokuta moja skończy się, i będę napowrót tem, czem byłem, a wtedy...



Zakł. Fotoch. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa.

Wszedł do środka kwiatu



— Wtedy—dokończył wróbel—gdy przyjdzie zima, a śnieg wszystko zasypie, nie dozwól umierać z głodu moim braciom, gdy ich ujrzysz, skupiających się około domu i szukających ratunku u ludzi.

— Przysięgam — odpowiedział uroczyście Guccio — że ani jeden okruch chleba z naszego stołu nie pójdzie w śmiecie. Będę je sam zbierał starannie i rzucał przed oknami, a oprócz tego poproszę ojca, żeby pozwolił nade drzwiami domu zawiesić snopek zboża dla biednych, zgłodniałych ptaszków.

— Oby się spełniły twoje słowa! Bądź zdrow, chłopczyku; życzę ci, aby twoja pokuta skończyła się jak najprędzej. Ale to późno już, możebyś lepiej u mnie przenocował?

— Nie, miły gospodarzu, nie mogę; chciałbym dziś jeszcze dostać się do domu i zobaczyć swoich, zanim pozamykają okna.

— A więc posłuchaj mojej rady: wejdz na sam wierzchołek drzewa; stamtąd zobaczysz jak na dłoni dom i ogród. Rozpatrz się dobrze, a potem rozwiń skrzydła i leć prosto w kierunku domu; inaczej mógłbyś zabłądzić, boś się jeszcze nie wprawił w latanie.

---

## VI.

### Gucio nocuje w pałacu liliowym.

Gucio poszedł za radą gościnnego wróbelka, ale nie przyzwyczajonemu do żeglugi powietrznej skrzydełka prędko osłabły. Zaczął opadać coraz niżej, niżej, przyczem spuścił z oczu dom rodzicielski i zabłądził w drodze. Długo krążył na prawo i na lewo, narreszcie, straciwszy nadzieję odnalezienia drogi, spoczął zmęczony na krzaku lilii białej.

Noc nadeszła, ale była to jasna noc letnia. Księżyc wszedł na niebo i, niby lampa cudowna, oświecał wszystkie przedmioty łagodnym, srebrzystym światłem; gwiazdy migotały drobnemi światełkami, niby miliony ocz, patrzących na ziemię i mrugających bezustannie; a w trawie, niby garść rozsypanych dyamentów, błyszczały robaczki świętojańskie. Od drzew ogrodu padały na ziemię wielkie, długie cienie, kładąc się jeden koło drugiego. Tak leżały całe szeregi. Znękany umysł Gucia zaczął machinalnie rachować te



cienie, i przyszło mu na myśl, że one wyglądają, jak spisywane w wielkiej księdze Boga rachunki dni, zmarnowanych przez niego w beczynności; jak widma, przychodzące dręczyć go pytaniami, co zrobił z godzinami, które mu owe dni przynosiły kolejno, a które nigdy nie powrócą... Pomyśleć, że coś minęło i nie powróci już nigdy, choćbyśmy to nawet kosztem życia własnego chcieli okupić, co za rzecz straszna! Gucia dreszcz przeszedł, gdy się nad tem zastanowił.

— Jak ja tę noc przepędzę, i co ze mną będzie dalej? — mówił do siebie. — Bóg czuwa nad światem, ale czy będzie chciał opiekować się mną, który niczem nie zasłużyłem na to?

Cisza zaległa ogród, tylko żaby w stawie mówiły jeszcze wieczorne pacierze, i kwiaty szeptały ciche modlitwy. Gucio przeżegnał się i zaczął także mówić swój pacierz codzienny, a potem jeszcze pieśń „Kto się w opiekę“. Skończywszy, podniósł oczy w niebo, jakby szukając tam odpowiedzi na swe gorące prośby, i wydało mu się, że duża pocziwa twarz księżycy dodaje mu otuchy, a gwiazdy mrugają przyjaźnie. Uczuł się troszkę pokrzepionym i zaczął myśleć o noclegu, jako tako wygodnym.

Tuż przy nim, na wysmukłej łodydze rozkwitała przepyszna lilia biała, otoczona licznym orszakiem nocnych motyli w białych szatach; wspanialszy pałac trudno było wymarzyć! Gucio postanowił w nim noc

przepędzić i wszedł do środka kwiatu, który znalazł szeroko otwartym.

Lubił on kwiaty dla ich barw pięknych i zapachu, ale uważnie nigdy żadnemu się nie przypatrzył; to też oczarowany został pięknnością liliowego pałacu, któremu srebrne światło księżycy dodawało jeszcze tajemniczego uroku. Obejrzenie go dokładne odłożył na jutro: dziś już nie chciał myśleć o czem innem, jak o spoczynku, zwłaszcza że, znalazłszy na płatkach kwiatu krople wieczornej rosy, zaspokoił jedną z nich pragnienie, dotkliwie mu dokuczające.

Właśnie wyciągał się na śnieżystej pościeli i, wdychając w siebie z rozkoszą balsamiczną woń kwiatu, myślał, że żaden król nie ma wspanialszego od niego łoża, gdy nagle słuch jego uderzony został śpiewem tak pięknym, że mimo znużenia zerwał się z posłania i wyszedł ze swej sypialni. Stanąwszy na jednym z bardziej wywiniętych na zewnątrz płatków lilii, jak na balkonie, zaczął przysłuchiwać się temu niespodziewanemu koncertowi.

Śpiew wychodził z blizkich krzaków agrestu, nisko przy ziemi rosnących, i płynął ku niebu, a tony jego rozbrzmiewały po całym ogrodzie i szły po rosie daleko. Gucio poznał po głosie śpiewaka: był to natchniony artysta, uznany od wieków przez świat cały — słowik. Gucio słyszał słowika nieraz, ale nigdy jeszcze śpiew jego nie zrobił na nim takiego, jak dziś,

wrażenia. Nieszczęście, osamotnienie, tęsknota do swoich zrobiły go czulszym na wszystko i wydobywały z głowy myśli, a z serca uczucia, jakie może nieprędko byłyby się tam odezwały w zwykłych okolicznościach. Te tony anielskiej czystości, słodkie, tęskne i rzewne, przenikały go do głębi duszy, i dziwił się, że taki mały ptaszek ma taki głos potężny i tyle przyjemności słuchaczom sprawić zdoła.

Usiłował sobie przypomnieć, ile też on kiedy zrobił komu przyjemności — ale jakoś pamięć nie miała mu nic do przypomnienia. Trzeba przyznać, że bardzo mało myślał o innych. Wszystko ograniczało się na rozdawaniu pieniędzy, ciastek i cukierków, które nic go nie kosztowały, bo ich miał do zbytku.

Nie sam tylko Gucio słuchał natchnionego śpiewaka. W całej wiosce zapanowała cisza uroczysta: żaby przerwały swoje pacierze i wstrzymywały oddech, ćmy i motyle przestały latać, ucichły szelesty kwiatów, szum drzew; nawet drobne robaczki, sunące po ziemi z cichym szmerem, zdawały się także słuchać.

Wtem pieśń urwała się tak nagle, jakgdyby jakaś struna pęknięta zepsuła cały instrument; słychać tylko było w zaroślach jakby trzepotanie skrzydeł, jakby szamotanie się rozpaczliwe, a potem ucichło wszystko...

Gucia zdjęła jakaś niewytłómaczona obawa o śpiewaka. Co to było? co mu takiego stać się mogło?

Dlaczego nie dokończył koncertu? Wstrzymywał więc oddech i czekał, czy czarujące dźwięki nie odezwą się jeszcze. Czekali i inni słuchacze: robaczki, motyle, żaby, kwiaty i drzewa, ale głucha cisza panowała w ogrodzie; więc po chwili wszystko wróciło do poprzednich zatrudnień, i różne szумы, szelesty i szmery napęłniły znowu powietrze. Guccio stał jeszcze czas jakiś zamyślony na swoim balkonie, czyniąc przeróżne domysły i przypuszczenia, i z ciężkiem sercem wrócił do liliowego pałacu.

Zmęczony przygodami i wzruszeniami, odurzony cudowną wonią kwiatu, zasnął twardo, i przyśniło mu się wszystko, co kochał i utracił: stary, poczciwy dom rodzinny, cały obrośnięty dzikiem winem, z zawieszonym nad drzwiami wchodowymi obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, malowanym na blasze: lipy, stojące przed gankiem, i akacje; mateczka, ojciec, Helusia, dziadek, panna Anna, siwy konik, okryty czaprakiem, ulubiony pies Burek. Widział ich wszystkich we śnie, cieszył się z nimi, i mieli się już nigdy nie rozłączać.

Ale wszystko na świecie musi mieć swój koniec, więc i sen Guccia nie mógł trwać wiecznie. Gdy się przebudził, nie mógł odrazu pojąć, ani gdzie jest, ani co się z nim stało; chwila upłynęła, zanim zdał sobie sprawę ze swego położenia. Z ciężkiem westchnie-

niem zabrał się do pacierza, polecając Bogu swój los i prosząc Go o skrócenie pokuty.

W powietrzu był miły, orzeźwiający chłód. Słońce tylko co wstało i poszło zaglądać do chat wieśniaczych, jakby wołało na ludzi, że czas już wstawać do roboty. Skrzydlata ptaków orkiestra śpiewała hymn poranny tak wesoło i hałaśliwie, jakgdyby chóry chciały się wzajemnie przekrzyczeć i kłóciły się o to, które wprzód będą usłyszane w niebie. Wnętrze lilowego pałacu, ozłoczone promieniami słońca, jaśniało królewskim przepychem, a krople rosy tu i owdzie błyszcząły na płatkach, niby dyamenty na białym atłasie.

Gucio z zachwytem przypatrywał się tym ścianom atlasowym. Było ich aż sześć; rozłożone u góry, niby kartki wachlarza, schodziły się z sobą u dołu w jedną całość, a wzdłuż każdej szedł wązki złoty pasek. Co go najwięcej dziwiło, to klomb dziwaczny, znajdujący się w tej wonnej komnacie: w samym środku stała wysoka, bladozielona kolumna, zakończona u góry trzema żebrami, rozszerzonymi na samym wierzchu — a żebra te pokryte były drobnymi brodawkami, powleczonymi lepką cieczą. Naokoło kolumny wznosiło się sześć niższych od niej cienkich nitek, czyli pręcików, a na każdym u samego wierzchołka wisiał długi podwójny woreczek, jakby przesyty przez środek. Woreczki miały ciemno-żółtą barwę, a przyczepione

tylko środkiem do pręcików, chwiałały się za każdym silniejszym wiatru powiewem.

Gucio przyglądał się temu klombikowi, tym pręcikom, a najwięcej tym żółtym woreczkom, ciekawy, co też one zawierać w sobie mogą, gdy leciuchny szmer zwrócił jego uwagę. Do komnaty zajrzała ciekawie mała ciemno-brunatna muszka i, zobaczywszy Gucia, zawahała się, jakby się namyślając, czy wejść dalej, czy nie wejść.

— Mówił mi wczoraj kret czy wróbelek, że każde stworzenie pracuje dla ogólnego dobra — pomyślał — głupstwo! Ciekawa rzecz, do jakiej też roboty może być zdatna ta oto jejmościanka. Próżnuje to pewnie cały Boży dzień i tylko patrzy, gdzie jest co do zjedzenia, albo też wygrzewa się na słońcu.

Chwilę tak patrzyli na siebie, ona na niego, a on na nią. On dziwił się szczególnie jej dużym, zajmującym prawie całą głowę oczom, złożonym z niezliczonej ilości małych sześciennych oczek, a najwięcej trzem małym dodatkowym oczom, umieszczonym na czole, i rożkom, pokrytym pierzastą szczeciną. Nie wiedział jeszcze biedak, że zupełnie tak samo wygląda! Nareszcie jejmościanka, osądziwszy snąć, że niema potrzeby wcale na niego zważać, weszła do środka, nie przeprosiwszy nawet za natręctwo. Dokoła klombu błyszczało coś, jakby wilgoć. Muszka zaczęła żwawo chodzić naokoło i wypijać tę wilgoć swoją misterną,

delikatną trąbką. Chodząc, potrącała pręciki — i o dziwy! Guccio zobaczył, że owe podwójne woreczki pękały na zeszytciu przez środek, i każda połowa odwracała się na lewą stronę, przyczem obficie wysypywał się żółtopomarańczowy proszek. Klomb był cały pokryty tym proszkiem, a muszka podobna do młynarza, mielącego żółtą mąkę. Guccio nie mógł już dłużej wytrzymać w roli obojętnego widza.

— Moja panno, co to wszystko znaczy? — odezwał się ostro, wskazując łapką na rozsypany proszek — po co tu weszłaś i dlaczego narobiłaś tyle nieporządku?

Muszka odwróciła się żywo i zmierzyła go od stóp do głów bystremi oczami.

— Aa! pokutujący człowiek! — rzekła nareszcie — nie spostrzegłam tego odrazu, boś czerwonej czapeczki na głowie nie miał. Cóż to pan dobrodziej przeskrobał?

Gdyby Guccio nie był w tej chwili muchą, ale chłopczykiem, toby groźnie brwi zmarszczył; ale, niestety, nie mógł tego uczynić, musiał więc poprzestać na powiedzeniu sobie, że nie warto zważać na „baby“, choć zły był okropnie. Podniósł czapeczkę, która mu była spadła podczas snu i, kładąc ją na głowę, odpowiedział głosem napozór obojętnym:

— Moja panienko, mężczyźni nie lubią babom zwierzać się ze swoich tajemnic; nie żądaj więc ode

mnie odpowiedzi na swoje pytanie, bo musiałbym dla ciebie być niegrzecznym. Spodziewam się jednak, że będziesz łaskawa wytłómaczyć mi, dlaczegoś tu przyszła i naśmiecila.

— Dlatego żeby kwiat miał nasienie — odpowiedziała.

— Co? co? nie rozumiem panny!

— Słuchajże mnie z uwagą. Najważniejszą częścią każdego kwiatu jest to — i to.

Tu wskazała umączoną łapką na wierzchołek kolumny, okryty teraz grubo żółtym proszkiem, i na pręciki z woreczkami.

— Pod wierzchem tej kolumny — mówiła — jest otwór głęboki, sięgający aż do samego dołu, gdzie ukryte są zalążki nasionek, i to wszystko razem nazywają ludzie słupkiem. Żeby jednakże z zalążków wytworzyły się nasiona, trzeba je zasilić tym żółtym pyłkiem, który się znajduje w woreczkach. Kwiat tego sam zrobić nie może, potrzebuje pomocy, i tę dajemy mu, my, owady. Wytrząsamy z woreczków pyłek, a on przeciska się między brodawkami, spada do środka słupka i zasila zalążki.

Łucio, słuchając tego, kiwał głową z niedowierzaniem.

— Bywają kwiaty, nie mające wcale pręcików, tylko same słupki, i inne, które znów słupków nie mają, tylko pręciki. W takich nasiona nie zawiązałyby



się nigdy, gdyby usługne owady nie latały po całych dniach z kwiatka na kwiatek i nie znosiły na łapkach i skrzydełkach każdemu tego, co mu jest potrzebne. Bez nasion niema owoców: gdyby nie my i nie wiatr, co nam często w tej pracy pomaga, ty, chłopczyku, nie jadłbyś nigdy owoców. Jesteśmy Bożą czeladką i, jak widzisz, odrabiamy ważną robotę z rozkazu Pana świata.

Gucio ciągle kiwał głową z niedowierzaniem: brzmiało to, jak bajka z „Tysiąca nocy“ — bo czytał był tę książkę. Czy podobna, żeby takie małe, nędzne stworzenia miały tak dużo znaczyć w życiu świata? Muszka sobie chyba z niego żartuje.

Pomyślawszy chwilę, rzekł nareszcie:

— Wróbel mi mówił, że owady tępić trzeba, jako szkodliwe rolnictwu, a panna nazywasz je Bożą czeladką. Któreż z was mówi prawdę?

— Jedno i drugie. Owady rozmnażają się z niesłychaną szybkością, znosząc rocznie setki tysięcy jajeczek; gdyby ich ptaki nie tępiły, to w krótkim czasie one jedne zapanowałyby nad światem. Niezmordowani ci robotnicy tak daleko posunęliby swą pracę, że nicby się nie ostało przed ich nienasyconem obżarstwem. Żadne stworzenie nie istnieje bez celu, ale w stosunku ich do siebie musi być zachowana równowaga.

— Dziwna rzecz, że panna, przybywszy tu dla pracy, pomyślałaś jednak najprzód o jedzeniu — przerwał Guccio, który dotąd nie pozbył się jeszcze swej podejrzliwości względem gościa.

— Nie zapieram się tego. Bóg tak urządził, żeby praca, wykonywana przez nas, łączyła się ściśle z naszym własnym interesem. Otrząsamy pyłki, szukając w kielichach kwiatów pożywienia dla siebie. Najczynniejsze w tej robocie są pszczoły, chociaż, moim zdaniem, one zanadto się poświęcają. Słodycz, znajdująca w kwiatkach, znoszą one do ula i gromadzą dla ludzi, którzy wprawdzie miód chętnie jedzą, ale pracy pszczół i trudu nawet w setnej części nie oceniają tak, jak na to zasługuje.

— Więc to jest słodkie? — zapytał Guccio, który nagle uczuł silny głód, wskazując łapką na wilgoć, błyszczącą dokoła klombu.

— Jak miód, spróbuj tylko.

Guccio spróbował, a spróbowałszy, połykał z chciwością wonny nektar.

— Żegnam pana, pokutujący człowieku — rzekła muszka, dygając uprzejmie. — W dalszej podróży spotkasz się pewnie z księżniczką Joasią, która pokutuje, tak samo jak ty, za złe obchodzenie się ze służącymi. Bardzo jednak spuściła z tonu, od czasu jak

służy u królowej pszczoł za popychadło. Jej królewska mość jest wielce surowa i wymagająca.

— Po czemże księżniczkę Joasię można poznać?— spytał Gucio.

— Nosi złotą spódniczkę. Bądź zdrow. Dobrego apetytu!

---

## VII.

### Czarni rycerze.

---

Wczoraj jeszcze Gucio potrafił zjeść na podwieczorek całego kurczaka, a dziś odrobina słodyczy wystarczyła mu na pierwsze śniadanie. Skończywszy posiłek, wyszedł zobaczyć, co się dzieje na dworze.

Kształt balkonu, z którego wczoraj przy świetle księżycy słuchał koncertu, zmienił się nieco przez noc. Lilia jeszcze więcej rozkwitła, a płatki jej, wywinięte na zewnątrz i połączone z sobą, tworzyły z jednej strony kwiatu długi zębaty ganek, po którym można było swobodnie spacerować. Gucia wszystko dziwiło i zajmowało. Co chwila odkrywał coś nowego, a on zawsze za nowościami przepadał. Na jednym ze śnieżnych płatków kilka kropli rosy, zebranych razem, tworzyło malutką sadzawkę. Gucio, który dziś jeszcze nie myślał o odświeżeniu toalety, skorzystał z tego, żeby się wykapać. Pierwszy to raz od chwili, gdy został zaczarowanym, ujrzał swój obraz, odbity w wodzie:

miał on takie same oczy, złożone z mnóstwa małych sześciennych oczek, jak owa muszka, z którą tylko co się pożegnał, a które go tak dziwiły; miał takie same trzy dodatkowe oczka na czole i takie same różki.

— Pięknie wyglądam, ani słowa — rzekł do siebie i westchnął.

Zanurzył się kilka razy z rozkoszą i wyskoczył, a otrząsnąwszy skrzydełka z wody, przeszedł na stronę ganku, wystawioną więcej na słońce, żeby się osuszyć.

Tutaj uderzył go niespodziewany widok. Pod krzakiem róży, na ścieżce, leżał martwy artysta, którego śpiewu wczoraj w uroczystem milczeniu słuchała cała wioska. Oczy zamknięte, piórka, poszarpane pod gardłem, krwawa rana piersiach i nóżki, kurczowo zgięte, pokazywały, że biedny śpiewak zginął gwałtowną śmiercią... Nieco dalej, na ścieżce, leżało trochę piór, wyrwanych ze skrzydeł, a tuż przy nich na wilgotnym piasku odcisnięte były wyraźnie ślady pazurów kota. Wszystko wskazywało, że napad był nagły, niespodziany, i że zabójca, jakimś szelestem spłoszony, uciekł, zostawiając swoją ofiarę.

— A, zbrodniarz! — zawołał Guccio, przejęty zgrozą — gdybym mógł, zastrzeliłbym go bez litości! Biedny, biedny artysta! tak cudownie wczoraj śpiewał i nie przeczuwał pewnie, że to jego ostatni koncert...

Jak ja mogłem spokojnie spać w nocy, gdy blisko mnie działały się takie straszne rzeczy!

Chciał zbliżyć się do zabitego, ale zauważył, że jego zwłok pilnują dwa owady z bardzo podejrzanemi minami, i to go wstrzymało.

Odziane czarnymi pancerzami, z dwiema żółto-czerwonemi pręgami na skrzydłach, wyglądały, jak żałobnicy, a trójkątne hełmy na głowach i ostrogi przy tylnych nogach zdawały się mówić, że te mundury zostały przywdziane dla oddania honorów wojskowych nieboszczykowi. Co jednak Gucia najwięcej uderzało w tym stroju, to duże rogi, jakimi były hełmy opatrzone. Z całej tych rycerzy postaci, milczącej, ponurej, zdawało się, że to chyba piekło ich przysłało po duszę śpiewaka. Ale co taki pocziwy ptaszek, który rozweselał i cieszył ludzi, zmęczonych pracą — i nie tylko ludzi, bo wszystkie stworzenia, mógł zgrzeszyć?

Jak stolarz obchodzi dokoła ciało nieboszczyka, kiedy bierze miarę na trumnę, tak obaj czarni rycerze krążyli dokoła zwłok nieszczęśliwego śpiewaka; poczem stanęli, kilkakrotnie dotknęli się rogami swoich hełmów, jakby dając sobie jakieś znaki tajemnicze, i jeden się oddalił, a drugi pozostał na straży.

— Ciekaw jestem, czego oni chcą? — pytał sam siebie Gucio i czekał, co dalej będzie.



Zakł. Fotoch. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa.

Kopali ziemię z nadzwyczajną szybkością





Niedługo czekał. Z górnych warstw powietrza doleciał go głuchy szmer, szmer szczególny, zagadkowy, nigdy jeszcze dotąd niesłyszany, który stawał się coraz wyraźniejszym — i jednocześnie rozeszła się silna woń piżma. Zaciekawiony, kto też się tak uperfumował, spojrział w górę i zobaczył lecący cały oddział czarnych rycerzy; wiódł ich prawdopodobnie ten sam owad, który się stąd niedawno oddalił. Oddział składał się z kilkunastu.

Stanąwszy na ziemi, wszyscy zaczęli wspólnymi siłami ściągać zwłoki śpiewaka ze ścieżki, gdzie było pełno ostrych żwirowatych kamyczków, na piasek, pod krzak lili, na którym siedział Guccio.

— Moi panowie, co chcecie zrobić z tym biednym ptaszkiem? — odezwał się Guccio, przemógłszy swoją niechęć do czarnych postaci. — Nie róbcie mu nic złego, bardzo was o to proszę!

— Człowiek pokutujący! człowiek pokutujący! — szeptali pomiędzy sobą rycerze, oglądając się na niego, a jeden, wyglądający na starszego trochę, odpowiedział:

— Bądź spokojny, chłopczyku, nie mamy żadnych złych zamiarów, chcemy tylko zamordowanego ptaszka pochować.

Guccio niezmiernie się zdziwił.

— Przepraszam bardzo za moją ciekawość — odezwał się znowu — ale... dlaczego panowie bierze-

cie się do tego? Czy grzebanie umarłych jest zwykłym waszem zatrudnieniem?

— Tak, chłopczyku. Jesteśmy grabarzami wszystkich niezwywych stworzeń małego rozmiaru, jak na przykład ptaków, myszy, susłów, chomików i wielu innych. Groby, które kopiemy, są zarazem kolebkami naszych dzieci; składamy bowiem jajka w martwe ciało, żeby wylęgnięte z nich potomstwo znalazło zaraz gotowy pokarm pod ręką. Bóg chce, abyśmy z pracy, jaką podejmujemy dla świata, i dla siebie też wyciągali jakąś korzyść. Innej zapłaty za robotę nie bierzemy.

— Nie rozumiem, co świat na tem korzysta — wtrącił Guccio.

— Czyż nie zgadujesz tego, chłopczyku? Gdyby nie my, wszystkie niezwywe zwierzątka rozkładałyby się i zatruwały powietrze, a zarazem w krótkim czasie zdziesiątkowałyby ludność.

— A jeżeli padnie koń albo krowa, to kto się zajmuje ich pogrzebem?

— Nasi krewni, nazywający się grobowcami i kąsawcami; ale oni nie grzebią umarłych, tak jak my, tylko ich pożerają, i to nie prędzej, aż ciało zacznie się rozkładać. Jeżeli rozkład niedość prędko następuje, grobowce wydają z siebie ciecz brunatną i cuchnącą, prawdziwy napój śmierci, pod wpływem którego ciało prędkiej gnije.

Gucio się cały wstrząsnął, zgroza go przejmowała.

— Wgryzają się one pod skórę zwierzęcia — mówił grabarz dalej — i w krótkim czasie tak dokładnie wszystko wyjadają, że nie zostaje ani kosteczka. Złatwiają się one z największemi zwierzętami prędeej, niż psy i wilki. Wy, ludzie pokutujący, dziwicie się wszystkiemu. Niedawno na pogrzebie małej myszki, która przez łakomstwo wpadła w pułapkę, musiałem opowiedzieć to samo pewnej małej księżniczce, która za złe obchodzenie się ze służącemi musi teraz służyć u królowej pszczoł za popychadło. A ty, chłopczyku, za co pokutujesz?

Gucio, którego w najgorszy humor wprowadzały pytania, dotyczące tego drażliwego przedmiotu, udał, że nie słyszy.

— Bądź pan łaskaw powiedzieć mi jeszcze, kto was zawiadamia o śmierci zwierzątek. Czy rodzina i przyjaciele zmarłych?

— Nasz własny węch: zdaleka czujemy śmierć. Ale dość tej gawędki! towarzysze, do roboty!

Jakby na komendę, cały oddział, pochyliwszy się, zaczął się wciskać łapkami pod ciało ptaszka, kopiąc jednocześnie przedniemi nogami ziemię z nadzwyczajną szybkością i odrzucając ją na bok tylnemi. Gucio podziwiał te nogi silne, opatrzone haczykami, doskonale zastępującemi łopaty. Zwłoki śpiewaka zagłębiały się w ziemię coraz więcej; a gdy się zupeł-

nie schowały, czarni rycerze zaczęli wyprawiać na nich szalone skoki, istny taniec czarownic, poczem zasypali je ziemią, tworząc mały wzgórek, udeptali i odeszli. Nie pozostał najmniejszy ślad krwawego dramatu, który się tu w nocy odegrał; tylko kilka piór, leżących na ścieżce, zostało, jako jedyna po wielkim artyście pamiątka, a i te za chwilę wiatr rozwieje.

Biedny śpiewak! niechaj mu ziemia lekka będzie...

---

## VIII.

### Gucio odpoczywa u tkacza pustelnika.

---

Gdy grabarze po skończonym pogrzebie odeszli, Guccio, wstrząśnięty głęboko widokiem, który miał niedawno przed oczyma, pozostał z niewesołymi myślami o śmierci i znikomości życia, o biednym śpiewaku, śpiącym teraz cicho w mogile, i zapytywał sam siebie, czy istotnie, oprócz kilku piórek na ścieżce, nic więcej po nim nie pozostało? O nie! kto słuchał jego pieśni natchnionych, ten nie zapomni wrażenia, jakiego doznał, i zachowa w sercu życzliwe o nim wspomnienie. On sam czuł to po sobie.

Tu zaczął się zastanawiać, co by też to było, gdyby on umarł. Mateczka rozchorowałaby się ze zmartwienia, siostrzyczka i ojciec płakaliby bardzo, nawet słudzy żałowałiby go, bo szczerze lubili panicza. Ale po pogrzebie każdyby sobie pomyślał: Ten chłopiec tak martwił rodziców swoim lenistwem, że lepiej, iż

go Bóg zabrał. Świat i tak nie miałby z niego żadnego pożytku.

Zapłakał nad sobą.

Ale trudno jest wytrwać długo w myślach posępnych, gdy słońce świeci jasno, niebo jest pogodne, a usposobienie pokutnika z natury żywe. To też Gucio otrząsnął się prędko z przykrych wrażeń. Przypomniała mu się owa księżniczka Joasia, o której mówili mu wszyscy: wróbelek, muszka i grabarz. Ciekaw był ją poznać i dowiedzieć się od niej samej o jej losach. Gdyby wiedział, gdzie jej szukać, poszedłby prosto do niej. Ona tam pewnie biedaczka bardzo jest nieszczęśliwa, nieszczęśliwsza jeszcze od niego. On przynajmniej jest swobodny, robi, co chce; a ją pewnie pszczoły pędzą do pracy od rana do nocy, dokuczają, łają, kolą żądłami i może nawet jeść nie dają. Biedna, biedna księżniczka! Może ona potrzebuje opieki i pomocy mężczyzny, może oczekuje wybawiciela!

Gucio czytał i słyszał nieraz o królewiczach, wybawiających zaklęte księżniczki; czemu więc nie miałby jej wybawić, albo przynajmniej los jej złagodzić? Nie był wprawdzie królewiczem, ale miał serce tklive na niedolę bliźniego i duży zapas rycerskiego zapału. Jak ją wybawić, nie wiedział i nawet nie próbował łamać nad tem sobie głowy. Alboż ów rybak z baśni czarodziejskiej, co złowił rybkę złotą, albo ów pasterz

co szedł na koniec świata dla odszukania jabłoni, rodzącej złote jabłka, wiedzieli, jak zdobyć swoje skarby? Czy się choć trochę namyślali? Gdzie tam! szli w drogę śmiało i, pokonawszy tysiączne przeszkody i niebezpieczeństwa z pomocą Bożą, zawsze dochodzili do celu. O tem, że dla małego owadka każde przedsięwzięcie musi być trudniejsze, niż było dla rybaka i pasterza, oraz że wybawiciel sam potrzebował wybawienia, rycerski nasz bohater nawet nie pomyślał. W drogę więc, w drogę! Pasieka mieści się w części ogrodu, stykającej się z lasem. Gdyby zablądził, to przecież spotka w podróży kogoś, co mu wskaże, w którą udać się stronę.

Widząc, jak ptaszki bujały, to wznosząc się, to opuszczając z pełną wdzięku swobodą, zapragnął odbyć podróż na skrzydłach i wzbił się w powietrze, kierując się ku lasowi. Już się trochę oswoił ze swym przyrządem do latania i nauczył sterować, zapatrując się na inne owady. Jak rybka, pływająca ponad dnem rzeczki, wysłanem kamyczkami i porostami, tak on unosił się nad kwiatami i krzakami, nad miejscami, które wczoraj jeszcze przebiegał, jako chłopczyk. Poznawał ścieżki, drzewa, gąszcze, tylko dziwna rzecz: nie mógł zgadnąć, w której stronie jest dwór. Ilekroć mu się zdawało, że trafił na ślad, zawsze zblądził. Nie mogąc widzieć nikogo ze swych ukochanych, pragnął zdaleka chociaż spojrzeć na dom, w którym żyli. Zda-

wało mu się, że, gdyby się przekonał, że dom stoi na miejscu, tak jak dawniej, byłoby mu lżej. Ale widać Bóg chciał go ukarać, bo odmówił mu tej pociechy.

Długo tak bujał, kąpiąc się z rozkoszą w ciepłym promieniu słońca. Jazda powietrzna sprawiała mu więcej przyjemności, niż niegdyś bujanie na huśtawce, która to zabawa była mu ulubioną.

Ale po półgodzinnej podróży spostrzegł, że jakoś nie zbliża się do celu. Ogród się w dwójnasób powiększył, że ani sposób się z niego wydostać; lasu ani widać, a skrzydełka już się zmęczyły, i chcąc niechcąc trzeba popasać.

Zniechęcony, usiadł pod drzewem na liściu łopianu, przemyśliwając, kogoby o dalszą drogę się spytać, gdy nagle ujrzał z najniższych gałęzi drzewa spuszczonego się pająka.

Ciało jego okrągławe, ciemne upstrzone było białymi kropkami, ułożonemi w kształt krzyża na grzbiecie, a głowa zrosnięta z tułowiem cienką szyjką. Z piersi wyrastały cztery pary nóg olbrzymiej długości. Lina, na której wisiał, przymocowana do gałęzi, przedłużała się tak szybko, jakgdyby pająk z kłębka ją odwijał. Nie było tam jednakże żadnego kłębka, ale coś ciekawszego, więcej zadziwiającego: pająk miał na końcu ciała kilka drobnych gruczołków, z których sączyła się jakaś lepka materya i w mgnieniu oka tężała na cieniutkie, ledwie dające się dojrzeć włókienka. Pająk



za pomocą nóg, opatrzonych na końcach małymi grzebyczkami, zlepił te włókienka w jedną niteczkę, niby biegła prządka, snująca swoją przędzę. Nitka owa, przedłużająca się ciągle, a więcej jeszcze pyszczek zwierzątko, zakończony ostremi szponami, i ośm okropnych oczu, patrzących uporeczywie w naszego podróżnego, napełniły go niemałą obawą — i, gdyby nie ciekawość, przykuwająca go do miejsca, uciekłby niezawodnie.

Gdy już mała tylko dzieliła ich odległość, pająk wyciągnął ku niemu jedną z przednich łap, opatrzoną mocnym, ostro zakończonym haczykiem, i zrobił taki ruch, jakby się gotował do skoku. Gucio zerwał się, zatoczył krąg w powietrzu i usiadł na drugim liściu, a pająk cofnął się, mruknąwszy z niezadowoleniem:

— Do licha! myślałem, że to zwyczajna mucha, a to człowiek pokutujący — i śniadanie przepadło! Czego tu chcesz, chłopcze? Czy masz do mnie jakiś interes? Może się chcesz nauczyć robić siatkę?

— O nie — odpowiedział Gucio, patrząc nań z nieukrywaniem wstrętem — idę do królestwa pszczół i zabłądziłem. Czy pan nie mógłbyś mi wskazać drogi?

— I owszem. Leć prosto przed siebie, a potem weź się na prawo: zobaczysz tam duże miasto, które ludzie nazywają pasieką. Domy w niem drewniane, wązkie, na wysokich nogach, z dachami spadzistymi. Była tu u mnie stamtąd przed godziną księżniczka

Joasia, która służy u królowej za popychadło, i płakała bardzo z tęsknoty za matką.

— Płakała? — pochwycił Gucio ze współczuciem — biedna! Ja idę właśnie do niej. Bądź pan zdrow.

— Zaczekajże — wołał pająk — nie śpiesz się tak bardzo, bo i tak nie zastaniesz jej teraz. Królowa wysłała ją po jakiś osobliwy pyłek z kwiatów wodnych, a to jest daleko. Będziesz miał jeszcze dosyć czasu. Chodź, zobacz tymczasem moją siatkę!

Gucio zgodził się, acz niechętnie, na obejrzenie warsztatu pająka. Bądź co bądź, była to rzecz ciekawa i warta widzenia. Siatka rozpościerała się pomiędzy dwiema gałęziami, w kształcie koła, w którym nitki promienisto rozchodziły się w równych odstępach od środka. Gucio podziwiał doskonale zachowane wymiary i nieporównaną sztukę w urządzeniu tkanki.

— Bardzo to piękny i delikatny wyrób — powiedział nareszcie — ale szkoda, że nie przyda się nikomu na nic, chyba tylko dla pana samego, na sidła do łapania tych biednych muszek, które tu widzę uwikłane i już nieżywe. Cóż z tego, że wiedziesz żywot pracowity, kiedy dla nikogo więcej nie użyteczny. Czy nie byłoby lepiej, żebyś sobie próżnował?

— Mylisz się, chłopcze. Pajęczyna, zmieszana z chlebem, od wieków używana jest do tamowania krwi. Ale nie na tem koniec: próbowano z niej wyrabiać pończochy i rękawiczki, a Ludwik XVI, król

Francyi, kazał z niej nawet dla siebie utkać suknię. Wprawdzie rzucił ją wkrótce, narzekając, że się prędko podarła, ale to tylko dlatego, że nie wynaleziono jeszcze sposobu nadania pajęczynie trwałości. Kiedyś to przyjdzie. My tymczasem nie ustajemy w pracy i czekamy cierpliwie. Ty, chłopcze, jesteś czemś więcej ode mnie, bo, jako człowiek, masz pod ręką tysiące sposobów stania się użytecznym, a czy w swem życiu zrobiłeś coś lepszego od pajęczyny?

Gucio nie znalazł narazie odpowiedzi: mocno pomieszany, pożegnał pająka i śpiesznie się oddalił.

Na zakręcie ścieżki ukazał się stary ogrodnik Maciej, w swoim wielkim słomianym kapeluszu z obszarzonymi brzegami i w granatowym płóciennym spencerku, z pod którego wyglądała koszula. Codzień regularnie o tej porze poczciwy staruszek szedł do stawu, nabierał mętnej wody w blaszaną konewkę i podlewał kwiaty i krzewy delikatniejsze. Guccio na widok swego dobrego przyjaciela zerwał się i poleciał ku niemu.

— Dobry, kochany Macieju — wołał, krążąc koło jego kapelusza — ty mnie poznasz, ty odgadniesz w małej muszce swojego panicza i powiesz mu, czy w domu wszyscy zdrowi i czy się bardzo martwią, że im zginął?

Maciej przystanął na chwilę, postawił konewkę na ziemi, zdjął kapelusz i jął się nim od natrętnej mu-

chy opędzać, co, brzęcząc głośno, latała mu ciągle koło ucha.

— A to ci uparte stworzenie! — rzekł nareszcie zniecierpliwiony, a otworzywszy swoją żyłastą dłoń, tak nią machnął w powietrzu, że o mało nie zabił panicza.

Gucio z boleścią uciekł.

— Nie poznał mnie — mówił do siebie z płaczem — nie poznał, a ja go tak kochałem!...

I, spoglądając wzrokiem pełnym wyrzutu za ogrodnikiem, który, krok za krokiem postępując, podlewał dalej kwiaty, czuł do niego żal głęboki, że z takim spokojem wypełniał swoje codzienne zatrudnienie, zamiast się troskać o panicza, zamiast go szukać i wołać na wszystkie strony.

— Gdyby Helusia zginęła, toby jej szukał — myślał, czując, że brzydkie uczucie zazdrości ściska mu serce. — Ona go nauczyła czytać...

Gorzko mu było w sercu i gorzko w ustach; widok wody, spadającej rzęsimym deszczem na kwiaty z kowneczki, obudził w nim pragnienie. W powojach błękitnych, rosnących nad brzegami trawników, pełno było tego deszczu. Guccio usiadł na jednym kwiatku, ale zaledwie zajrzał do kielicha, odeszła go wszelka ochota do picia.

W wodzie roiły się miliony istot potwornych, do węży podobnych; u wielu z nich drobniutkie włoski,

niby kolce, pokrywające jeża, zastępowały pletwy rybie przy odbywaniu ruchów. Węże te wiły się z niesłychaną szybkością, uganiały za mniejszemi od siebie istotkami kształtu kulistego i staczały z nimi walki tak zacięte, że trudno było odróżnić napastnika od napastowanego. Walki kończyły się pożeraniem.

— Ktoby pomyślał, że w kropli wody mogą się dziać tak straszne rzeczy! — mówił do siebie Gucio, patrzący na to ze zgrozą. Chciał się oddalić co prędzej, bo miękkie miał serce, ale niezwykłość widowiska przykuwała go do miejsca.

Zwierzątka były różnej wielkości i kształtów tak niezwykajnych i dziwacznych, że nie tylko spotkać, ale wymyślić coś podobnego byłoby trudno. Jedne zwłaszcza, całe zielone, z czerwonym oczkiem na przodzie ciała, zmieniały bezustannie swoją postać, to kurcząc się, to rozszerzając. Inne znów, nadmiernie szerokie, z głową pokrytą włosami, podobne były do ryb; inne do woreczków i roślin, mających pączki kwiatowe — a inne jeszcze wyrzucały z siebie kuleczki, które, zrazu nieruchomo pływające, po pewnym czasie zaczynały się ruszać, jak żywe. Były też tam zwierzątka podobne do dzbanuszków, do cieniutkich niteczek, i Bóg wie do czego!

Panna Anna mówiła nieraz Guciovi, że kropla wody ma dużo mieszkańców, i że niektórym z nich, większym, przyjrzeć się można przez mikroskop — na-

rzędzie, przeznaczone do badania niewidzialnych go-  
łem okiem drobiazgów — ale naturalnie, puszczał to  
mimo uszu, jak wszystko, co miało jakąkolwiek stycz-  
ność z nauką. Teraz jednak, gdy oczy muchy zastę-  
powały mu najdoskonalszy mikroskop, gdy zobaczył  
to, czego oko ludzkie nie może dostrzedz bez pomocy  
narzędzi, zrozumiał, że nauka jest potrzebna do pozna-  
wania cudów tego świata — i że bez niej człowiek cho-  
dzi po ziemi, jakby na pół ślepy.

Poznawać wielkie dzieła ręki Bożej, wiedzieć, jak  
drzewo rośnie i skąd kwiat bierze swoją barwę; wie-  
dzieć, jak żyją zwierzęta, jak gwiazdki chodzą po nie-  
bie i dlaczego raz się pokazują, drugi raz znów cho-  
wają; jednym słowem, wiedzieć dużo, jak najwięcej —  
co za rozkosz! Człowiek wtedy na rośliny, na zwie-  
rzęta, na gwiazdy patrzy, jak na swoich dobrych zna-  
jomych, co nie mają przed nim tajemnic. Gucio pojął  
teraz, że nie znał nic i nikogo; wszystko dla niego by-  
ło obce, a rozumu uczył się dopiero od zwierząt i roba-  
ków, na które dawniej patrzył z pogardą, lub deptał  
nogą, nie wiedząc nawet o tem. Co za upokorzenie!

## IX.

### Gucio ocala zaklętą księżniczkę.

— Może znajdę gdzie w cieniu drzew kilka kropeł czystej rosy, których słońce jeszcze nie wysuszyło — myślał Guccio, przelatując nad kwiatami, zaglądnąjąc do kielichów i pomiędzy listeczki.—Zresztą, komu w drogę, temu czas!

W powietrzu tymczasem zrobiło się duszno i parno; na niebie zaczęły się w różnych punktach ukazywać małe, szare chmurki i biegać jedna za drugą, jakby się goniły; nareszcie, zbiwszy się w jedną wielką gromadę, przybrały barwę ołowianą. Ptaki i owady latały przy ziemi niespokojne i uciekały do gniazd. Grube pojedyncze krople zaczęły padać, potem błysnęło, rozległ się grzmot, i rzęsiста spadła ulewa. Guccio, zawsze roztrzepany, nie widział stopniowego gromadzenia się chmur, i dopiero, gdy ciemno się zrobiło, gdy zaczęło grzmieć i błyskać, zobaczył, że burza nadchodzi. Zaskoczyło go to zupełnie niespodzianie, o kilka-

dziesiąt kroków od strumienia, płynącego dołem ogrodu. Przemokły, drżący, schował się między gałązki kaliny i, uczepiwszy się mocno nóżkami jednego liścia, czekał, co dalej będzie.

Ogród rozpościerał się na wzgórzu i spuszczał coraz niżej do strumienia. W skutek tego położenia, górna połowa ogrodu obsychała bardzo prędko, ale za to dolna w czasie niewielkiego nawet deszczu doświadczała prawdziwych klęsk powodzi. Strugi, płynące z góry, wyzłabiały w gładkiej ścieżce rowy, doły, kanały; porywały żwir, liście, gałązki, słowem, wszystko, cokolwiek spotkały na drodze — i niosły w dół do strumienia, który, wzbogacony takim przyływem wody, stawał się szerszy najmniej o pół łokcia. Pan H. zawsze zbierał się temu zaradzić, ale przy ważniejszych sprawach gospodarczych nie mógł sobie dotąd znaleźć czasu na tę drobnostkę.

Gucio przez szczeliny swego schronienia patrzył na te wodospady, płynące z góry, na które, gdy był jeszcze człowiekiem, nie zwróciłby nawet uwagi, ale które w położeniu, w jakim się obecnie znajdował, wydawały mu się przestraszającymi. Bał się, żeby woda nie podkopała krzaka lub nie wyrwała go z korzeniem. Do tego wprawdzie nie przyszło, ale stało się coś innego, czego Guccio wcale nie przewidywał. Zerwał się silny wiatr i tak gwałtownie szamotał gałęzmi, że z drzew odrywały się liście i latały w powietrzu, jak



ptaki, lub padały na ziemię, a porywane prądem wody, płynęły w dół do strumienia.

Gucio ani się spostrzegł, jak liść, do którego się przyczepił, popłynął wraz z innymi. Przeskakiwał on nieraz przez ten strumyczek, nie zamaczawszy nóg nawet — a dzisiaj wydawał mu się olbrzymią rzeką, której wzburzone fale mogły w każdej chwili zatopić jego wątłą łódkę. Hałas potoków, wpadających do tej rzeki, trzask gałęzi, szum wiatru, grzmoty i błyskawice, wszystko to przerażało go i ogłuszało. Zaczął po cichu odmawiać psalm „Kto się w opiekę“ i, zaledwie go skończył, wiatr przycichł, a przez chmury przedarł się promyk słońca i rozpędził czarne, pokrywające błękit zasłony. Deszcz przestał też padać, a przez sam środek nieba rozpostarła się wspaniała siedmiobarwna wstęga tęczy.

Bałwany na strumieniu uspokoiły się także, a zielona łódka Gucia, posuwając się ciągle z biegiem prądu, nie potrzebowała już obawiać się zatonięcia. Dookoła niej płynęły nieżywe owady, drobne gałązki, liście wierzby, kasztanów i kawałeczki słomy. Gucio wyciągnął łapkę i pochwycił jedną słomkę, cienką, jak nitka, ale twardą, chcąc użyć jej zamiast wiosła. Próba udała się: łódka zrobiła obrót w prawo, obrót w lewo, a potem, posłuszna woli żeglarza, płynęła środkiem strumyka, mijając od czasu do czasu całe gromady liści, zbitych w jedną ławicę, lub większe kawałki drze-

wa, z którymi spotkanie mogło jej grozić zatopieniem lub rozbiciem.

Żabki zielone, które się były pochowały przed burzą, wychodziły jedna po drugiej na spacer, a ropuchy dążyły w stronę zagonów kapusty, której liście starannie z liszek zazwyczaj obierały; drobne rybki wychylały łebki z wody i przypatrywały się Guciovi, towarzysząc jego łódce chwilami! Podróżny nasz przyglądał się wszystkiemu ciekawie, rybkom i porostom wodnym i kamyczkom, leżącym na dnie — bo wszystko to, a nawet jego łódka, wiosło i podróż wodna, było dla niego nowością.

Gdy on, pochłonięty cały przez nowe wrażenia, zapomniał zupełnie o minionem niedawno niebezpieczeństwie, jedna mała pszczołka, porwana wodą, walczyła o życie. Ilekroć nadpływał liść czy gałązka, wyteżala wszystkie siły, żeby się do nich dostać, ale, zanim zdążyła, mijały obok niej. Już ledwie poruszała nóżkami... Gucio, zobaczywszy jej rozpaczliwe wysilenia, skierował ku niej swoją łódkę i za pomocą wiosła, którego końca uchwyciła się konwulsyjnie, pomógł jej wejść na pokład. Ale zaledwie dotknęła go nóżkami, zemdląca z osłabienia i przestrawu.

Gucio przełęczniony skakał dokoła niej, pragnąc ją ratować, a nie wiedział, jak się wziąć do tego, zwłaszcza że nie miał przy sobie ani wody kolońskiej, ani anodyn. Gdyby wiedział, gdzie mieszka doktor

pszczelnicy, poleciałby po niego — ale gdzie go szukać? Niemało się biedny chłopiec natroskał, zanim odzyskała przytomność, i niemało nawyrzekał na „baby“, że od byle czego mdleją.

Otworzywszy oczy, pszczołka podziękowała w tkliwych wyrazach swemu wybawcy i zaczęła otrząpywać skrzydełka z wody, suszyć je na słońcu, składając i rozkładając. Przy tem przywracaniu toalety do porządku Gucio zobaczył złocistą spódniczkę, której poprzednio, przy wyciąganiu pszczołki z wody, nie dostrzegł, bo była nawskroś przemoknięta.

— Czy ty nie jesteś czasem zaklętą księżniczką? — zapytał, wzruszony niespodzianym widokiem tej, której szukał.

— Zgadłeś — odpowiedziała — ale skąd to wiesz? Kto ci o mnie mówił? Ja się odrazu domyśliłam, żeś ty człowiek pokutujący, jak tylko zobaczyłam twoją czapeczkę. Ale powiedz mi, jak się nazywasz i za co pokutujesz?

Gucio nie wiedział, na które pytanie ma wprzód odpowiedzieć, tyle ich było razem — ale zaczął od ostatniego, to jest od własnej historii. Szczęśliwy, że znalazł nareszcie kogoś, kto go po ludzku zrozumie, opowiedział wszystko, nie nie ukrywając — chociaż wyznanie kosztowało go trochę. W dziesięć minut księżniczka знаła jego przygody tak dobrze, jak on

sam, tylko wiadomość o chęci wyswobodzenia jej z łań przyjęła z uśmiechem politowania.

— Dobry z ciebie chłopiec — powiedziała — ale wiedz, że nikt w świecie nie zdoła wybawić ani mnie, ani ciebie, oprócz wróżki. Ona jedna tylko może odwołać zaklęcie, a kiedy to zrobi, nikt nie wie. Od czasu, jak mnie dotknęła swoją złotą laseczkę, nie widziałam jej ani razu, a pokuta moja trwa już cały tydzień.

— Jakże to było? — pytał Guccio.

Księżniczka Joasia westchnęła.

— Moi rodzice są bardzo bogaci — rzekła po chwili milczenia — mieszkają niedaleko stąd w pięknym pałacu, gdzie jest pełno obrazów, zwierciadeł, dywanów i marmurów. Mama kochała mię bardzo i była ze mnie dumna, uczyłam się bowiem dobrze, i moja nauczycielka wychwalała mię zawsze. Nie było w tem jednak mojej zasługi, bo miałam doskonałą pamięć, i dość mi było przeczytać coś parę razy z uwagą, żeby mózdz prawie dosłownie powtórzyć. Pomimo to, oprócz mamy, nikt mnie w domu nie lubił, bo byłam kapryśna, popędliwa, a wady te mego charakteru najwięcej się dawały uczuwać służącym, którymi pogardzałam, uważając ich zawsze za istoty niższe od siebie. Stara Maryanna, która mnie piastowała, najwięcej ucierpiała. Nigdy w niczem nie mogła mi dogodzić: przy czesaniu krzyczałam zawsze w niebogłosy, że mię targa, aż mama przybiegała łajac ją za

nieostrożność. A co miała z ubieraniem i myciem!... Nieraz biedna skrycie płakała, nie śmiejąc się nawet poskarżyć.

Jednego dnia miałam jechać z mamą na wizytę w sąsiedztwo i koniecznie domagałam się, żeby mi włożono niebieską aksamitną sukienkę, świeżo przyslaną przez babcię z Warszawy; ale mama powiedziała, że to byłoby niewłaściwe z powodu wielkiego gorąca na dworze, i kazała mi włożyć białą muślinową. Zła byłam okropnie i, gdy Maryanna przyniosła mi tę suknię, nad której prasowaniem i rurkowaniem męczyła się od rana, powiedziałam jej z gniewem, że brzydko jest uprana, i, zgniótlszy suknię w rękach, rzuciłam z pogardą na ziemię. Oburzona Maryanna powiedziała mi wówczas, że mam złe serce, i że woli mojej mamie podziękować za służbę, niż usługiwać takiej grymaśnicy. Zawrzałam gniewem i, przyskoczywszy do niej, uderzyłam ją z całej siły. Ach, Guciu! gdybyś widział, jak na mnie spojrzała!... Powiadam ci, że nie zapomnę tego do końca życia: była w jej wzroku taka boleść, że aż zdrewniałam, przerażona własnym czynem. Stałam tak chwilę bez ruchu, patrząc, jak wychodziła, ocierając łzy fartuchem, jak szła przez ogród do oficyny. Gdy mi zniknęła z oczu, rzuciłam się ku drzwiom, chcąc ją dogonić i ułagodzić jakim podarkiem, ale zamiast niej spotkałam wróżkę. Długa jej szata czarna, jak noc, mieniła się iskrami, a z pod chustki, pokrywa-

jącej głowę, wymykały się siwe kosmyki włosów. Twarz miała mocno pomarszczoną, wystającą brodę i ogromny nos, na którym opierały się szkła okularów.

— To ta sama, co mnie zaczarowała w muchę — przerwał Guccio.

— Oczy jej, patrzące przez wierzch tych okularów, miały blask nadzwyczajny, a tak patrzyły przeniekliwie, że czułam, jak mnie przegładają nawskroś.

— Zupełnie tak jak ja.

— Niedobra dziewczyno — przemówiła do mnie surowo — niedość, że nie umiesz uszanować pracy ludzkiej, ale jeszcze ośmieliłaś się podnieść rękę na kobietę, co cię wypiastowała!... Popeliłaś zbrodnię, która nie może pozostać bez kary. Nie warta jesteś żyć w społeczeństwie ludzkim, więc pójdziesz w służbę do najpracowitszych istot na świecie, do pszczół, i tam w pocie czoła od rana do wieczora pracować będziesz dopóty, dopóki nie nauczysz się szanować pracy, i nie zrozumiesz całej wielkości swego występku. Zamieniam cię w pszczołę roboczą!

To powiedziawszy, dotknęła złotą laseczką mego czoła, i poczułam, że się ze mną dzieje coś dziwnego. Stawałam się coraz mniejsza, mniejsza, mniejsza, aż moja dawna postać gdzieś się podziała, a ja jestem tylko małym, drobnym owadkiem. Rozpacz mię ogarnęła. Chciałam błagać wróżkę o litość, chciałam ją prosić, żeby mi dała czas do poprawy, a będę odtąd

zupełnie inną; ale zniknęła tak nagle, jakby się ziemia pod nią rozstała. W powietrzu tylko było słycać jakieś dziwne szmery i świsty. Zaczęłam wołać, krzyczeć, płakać, wzywać ratunku, ale nikt mi nie odpowiadał, bo nikt mnie nie mógł słyszeć: nie miałam już ludzkiego głosu, tylko brzęczałam, tak jak teraz. Ach, jakaż ja byłam nieszczęśliwa!

— Tak samo zupełnie było ze mną — szepnął Gucio, kiwając smutnie głową.

## X.

### Statek Gucia przybija do królestwa pszczół.

— Dalsze moje przygody bardzo były podobne do twoich — mówiła dalej Joasia. — Zapoznałam się z tymi i owymi owadami, trochę błądziłam w drodze, aż nareszcie dwie pszczoły, przysłane przez wróżkę, wzięły mię między siebie, i przyłączyłyśmy się wszystkie do roju, zawieszono go na drzewie.

— Jak żyję, nie widziałem jeszcze roju — odezwał się Gucio.

— O! to jest bardzo ciekawe — mówiła dalej Joasia. — Wyobraź sobie wielką gromadkę pszczół, zbitych w jedną masę; zdaleka wygląda to, jak czarny worek, wiszący na gałęzi, szerszy u góry, a węższy u dołu, albo jak duże winne grono. Pszczoły trzymają się jedna drugiej nóżkami. Moje towarzyszki uczepliły się innych; każda podała mi dwie nóżki, przykazując trzymać się ich mocno i nie puszczać. Tak wisiałyśmy



z godzinę. Już mnie zaczęło boleć całe ciało od niewygodnego położenia, gdy przyszedł jakiś człowiek w płóciennem ubraniu i w gęstej drucianej masce, okrywającej mu twarz i głowę, a w ręku trzymał plecioną kobiałkę. Człowiek ten zaczął kropić nas wodą, a potem mocno trząść gałęzią, do której rój był przyczepiony — i po chwili spadłyśmy w tę kobiałkę, a on nas zaraz nakrył płótnem i zawiązał. Przełęknięta panującą wśród nas ciemnością i hałasem, zaczęłam się pytać moich towarzyszek, co to znaczy i co z nami dalej będzie, ale one uspokoiły mię, mówiąc, że nie potrzebuję obawiać się żadnego niebezpieczeństwa, i że odbywają się właśnie przenosiny królowej matki wraz z całym jej dworem do nowego królestwa.

— Nic nie rozumiem — wtrącił Guccio.

— Ja także nie mogłam pojąć tego odrazu, ale pszczoły wyjaśniły mi wszystko. Królowa panowała w bogatym i potężnym ulu, otoczona powszechną czcią i miłością poddanych. Ale gdy następczyni tronu, wychowana odpowiednio do swej wysokiej godności na najpożywniejszych pokarmach, doszła do pełnoletności, królowa ustąpiła jej swego ula, a sama przenosi się do innego, wyszukanego przez poselstwo, umyślnie w tym celu naprzód wysłane, i tam zakłada nowe państwo, czyli nową rodzinę. Dwie królowe nie mogą żyć razem obok siebie w jednym państwie, bo to mogłoby się stać powodem do zamieszkań i buntów.

— Dlaczegoż to matka musiała ustąpić miejsca córce? — przerwał Guccio, który w tem widział brak uszanowania i miłości młodszych dla starszych. — Dlaczego córka nie szukała sobie innego ula? Jak mogła zgodzić się na taką ze strony matki ofiarę?

— Ja tak samo myślałam — odpowiedziała Joasia — ale pszczołki wytłómaczyły mi, że tak być musiało. Następczyni tronu, młoda i niedoświadczona, nie umiałyby sama wszystkiego dobrze urządzić; więc królowa, jako troskliwa i kochająca matka, wołała zostawić jej państwo, już urządzone w najdrobniejszych nawet szczegółach. Kiedyś ona tak samo ustąpi znowu swojej matce. Taki już porządek rzeczy na świecie, że matki zawsze poświęcają się dla dzieci.

— Opuszczając ul — mówiła Joasia dalej — królowa zwróciła się do dawnych poddanych, pytając, kto zechce jej towarzyszyć do nowego królestwa, i w tej chwili otoczył ją liczny zastęp. A gdy, opuściwszy ul rodzinny na zawsze, siadła na gałęzi jednego z drzew ogrodu, zastęp, towarzyszący jej, zbił się przy niej w gęstą masę, jakby tworząc mur żywy dokoła swej władczyni.

— Z ilu też osób składał się ten dwór? — zapytał Guccio.

— Z dwudziestu tysięcy — odpowiedziała Joasia.

— Ależ to całe wojsko! — zawołał.

— To wystarczyło zaledwie na początek. Człowiek, o którym ci mówiłam, że nas strząsnął z gałęzi, przeniósł nas do nowego, wcale jeszcze nie zamieszkałego ula, w którym królowa matka założyła swoją stolicę. Pod jej rozumnym panowaniem państwo coraz bardziej wzmaga się w siły i teraz jest nas już przeszło trzydzieści tysięcy.

— Czy nie żartujesz ze mnie? — odezwał się Guccio z niedowierzaniem.

— Będziesz mógł wkrótce sam się o tem przekonać, bo powoli zbliżamy się do pasieki. Uli wszystkich jest tam przeszło pięćdziesiąt, więc wszystkie razem pszczoły składają kilkomilionową armię, jakiej nie może posiadać żadne z ludzkich państw w Europie.

— Czy ja będę mógł obejrzeć jeden ul?

— Dlaczego nie!

— A jeżeli tam stoją strażę z wycelowanemi żądłami?

— Nie obawiaj się niczego. Człowiek pokutujący jest zupełnie bezpieczny w całym zwierzęcym świecie: idzie o jego poprawę i naukę, nikt mu więc nie szkodzi, ale każdy otacza go pomocą i opieką. Choćbyś był nawet mniejszy od mrówki, nikt się nie targnie na twoje życie.

— Czy, oprócz mnie i ciebie, jest więcej ludzi pokutujących?

— Zdarza się od czasu do czasu, że wróżka kogos zamieni to w rybkę, to w ptaszka, to w owad jakiś. Ale każdemu da znak, wyróżniający go od innych stworzeń tego samego rodzaju, który znaczy to samo, co u ludzi paszport, wzywający władze policyjne do dawania posiadającej go osobie pomocy i opieki w razie potrzeby. Ty swój paszport nosisz na głowie, a ja swój u pasa.

— Czy ty umiesz także miód nosić? — zapytał Guccio, patrząc na swoją towarzyszkę z ciekawością.

— Umiem — odrzekła — ale nie zawsze używają mnie do tej roboty. Służę za popychadło, a więc cały dzień jestem na posyłkach, albo też spełniam najniższe posługi: czyścić komórki woskowe, ul zamiatać — to są moje codzienne obowiązki. Od rana do nocy jestem na nogach, i niema kiedy odpocząć, chociaż pot się leje ze zmęczenia. Teraz dopiero rozumiem, co to jest praca, i ile się zawsze namęczyła dla mnie ta biedna Maryanna...

— Biedna Joasiu — powiedział Guccio z głębokim współczuciem — jakże ty musisz się czuć nieszczęśliwą, że cię zmuszają pracować tak bez odetchnienia.

— Prawda, czuję się bardzo nieszczęśliwą, ale nie dlatego, że mi każą pracować, tylko z powodu tęsknoty do rodziców i wyrzutów sumienia za krzywdę, wyrządzoną Maryannie. Czy ona mi kiedy przebaczy? czy zapomni?



Znkl. Fotoch. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa.

Co za prześliczne podwodne stworzenie!



— Ach, prawda! — westchnął Guccio — wyrzuty sumienia najwięcej dolegają: one i mnie nie dają spokoju...

Zielona łódka przepływała teraz obok wspaniałych nimf wodnych.

— Zatrzymaj tu swój statek—prosiła Joasia— bo muszę spełnić zlecenie, z którym wysłała mię królowa, a którego z powodu burzy spełnić jeszcze nie mogłam. Nasza Najjaśniejsza pani za wielki przysmak uważa potrawę, przyrządzoną z miodu i pyłku tych pięknych kwiatów wodnych, i oświadczyła, że dziś go mieć chce na obiad.

— To królowa jada taką potrawę?

— Nie tylko królowa; wszystkie młode pszczoły ze smakiem ją jadają. Zaczekajże na mnie chwilkę, bo muszę tego pyłku zbierać.

— A w cóż ty go weźmiesz, kiedy nie masz z sobą żadnego naczynia?

— O, mam ja z sobą koszyczki — odpowiedziała — zobaczysz zaraz, jak je zacznę napępiać.

— Pewnie je pogubiła w wodzie w czasie burzy — pomyślał Guccio — i zapomniała o tem. Ciekawym, co też zrobi, gdy spostrzeże swoją pomyłkę. Może królowa ukarze ją za to!

Ale Joasia nie troszczyła się wcale o swoją zgubę. Gdy nie wychodziła długo z kielicha kwiatu, Guccio, ciekawy, jak też sobie radzi, położył wiosło i już chciał

udać się za nią, gdy Joasia, cała obsypana pyłkiem, wyszła ze środka kwiatu i, uniósłszy się nad nim w powietrzu, zgarniała z siebie pyłek delikatnymi szczoteczkami, umieszczonemi na przednich i środkowych łapkach, do głębokich wyżłobień, czyli koszyczków, które miała na tylnych nóżkach. Tam gromadziła pyłki i ugniatała, żeby mózdz jak najwięcej zanieść z sobą do ula. Gucio nie mógł się wydziwić, jak ona takich trudnych rzeczy mogła dokonywać w powietrzu — bo całe jej ciało pracowało: i skrzydełka, i nóżki. Joasia nie wiedziała nawet, że ją podpatrują; dopiero gdy już ukończyła zupełnie swoje ładowanie, zobaczyła Gucia.

— Już jestem gotowa — rzekła do niego — śpieszmy się teraz, bo Najjaśniejsza pani może gniewać się na mnie za spóźnienie. Moglibyśmy przelecieć ten kawałek na skrzydłach, ale ja tak lubię płynąć łódką! Dalej, bierz się do wiosła!

Gucio w milczeniu spełnił, co mu kazano, i, sterując ku pasiece, którą zdala było już widać, rozmyślał nad koszyczkami pszczoły; wydawały mu się one czemś tak cudownem i nadzwyczajnem, jak wszystko, co od wczoraj spotykał w swej podróży. Nagle wiosło zawadziło o coś w wodzie, i łódka zatrzymała się. Gucio pochylił się i, wyciągając wiosło do góry, zawołał:

— Co za prześliczne podwodne stworzenie! Patrzno, patrz, Joasiu! całe srebrne. Czy to rybka, czy co innego?



I wskazywał wiosłem zwinne stworzenie, przesu-  
wające się szybko obok nich.

— Nie znasz go? To jest topnik, jedyny pająk,  
umiejący pływać, i wyborny nurek. Najulubieńszym  
jego spacerem jest przechadzka po łodygach roślin  
podwodnych.

— On jest cały okryty srebrnym płaszczem, Joa-  
siu! Czy on zawsze chodzi tak bogato ubrany?

Księżniczka rozśmiała się.

— Co też ty mówisz! w srebrnym płaszczu topni-  
ka niema ani odrobiny srebra: on jest cały pokryty  
pęcherzem powietrznym. Pęcherz ten trzyma się moc-  
no włosków, pokrywających jego ciało, a światło i wo-  
da sprawiają, że wygląda, jak srebro.

— Czy on przedzie nici tak samo, jak każdy  
pająk?

— Ho, ho, i jak jeszcze! toć to w jego sieci zaplą-  
tało się twoje wiosło. Biegły ten tkacz umie także  
rozmaite sztuki. Wyobraź sobie, że on swymi gruczoł-  
kami prządkowymi, mieszczącymi się na końcu ciała,  
zatrzymuje duże bańki powietrza, unosi je z sobą pod  
wodę, osnuwa przędzą wokoło i przymocowuje do  
gałązek, tworząc sobie z tego mieszkanie. O, czy wi-  
dzisz tam na prawo jego srebrny pałac, podobny do  
dzwonu nurków?

— Czy ten nie większy od naparstka?

— Ten sam. Wszedł on w tej chwili do niego i czatuje na owady, wikłające się w sieci, którą pod wodą rozciągnął. Topnik żyje w swoim pałacu bardzo wygodnie: ma czem oddychać, a gdy się przedzeniem zmęczy, to się zabawia polowaniem.

— Skąd ty to wszystko wiesz?

— Czytałam w książkach, a od czasu, jak jestem zaklęta w pszczołę, przylatuję tu często po pyłki lub słodycze i przez wodę, jakby przez szybę szklaną, przypatruję się życiu tego ciekawego zwierzątka.

Gucio bardzo niemiłego doznał uczucia, że jego towarzysza, chociaż „baba“, rozumniejsza była od niego.

Zmiana krajobrazu odwróciła myśli jego w inną stronę. Znajdowali się w głębi lasu, w samym środku wielkiego miasta pszczół. Gmachy drewniane, na wysokich nogach, stały rzędami wśród zieleni, a wkoło nich uwijały się tłumy pracowitego narodu.

— Możesz puścić swój statek na wolę wiatrów — rzekła do niego Joasia — bo już przybyliśmy do celu: ten oto pierwszy gmach z brzoza to zamek naszej królowej.

Gucio przypatrywał się z ciekawością spadzistemu dachowi zamku, bijącemu w oczy zdaleka czerwona barwą; ścianom, niebiesko pomalowanym i obitym słomą z przodu i po bokach; balkonom, znajdującym

się przy niektórych okienkach, a najwięcej wysokim nogom, na których stał zamek.

— Dziwny kształt — zauważył — wygląda to, jakby bocian, stojący w trawie. Nie widzę nigdzie bramy, tylko dwa malutkie okienka: jedno u góry, drugie u dołu.

— Jest jeszcze jedno z boku — odpowiedziała Joasia. — Cóż chcesz! pszczoły nie mogą mieszkać tak samo, jak ludzie. Zresztą one mają nieprzyjaciół, więc dla zabezpieczenia od nich ludzie budują im zamki warowne.

— Pszczoły mają nieprzyjaciół! — powtórzył ze zdziwieniem — a to jakich?

— O! bardzo wielu: myszy, ptaki, osy, motylce, trupie główki.

— Co też ty mówisz! alboż ludzie chodzą po śmierci? Mama mówiła mi zawsze, że nie trzeba wierzyć w takie brednie.

— Ależ to nie duch żaden, tylko ćma szara, nazywająca się tak dlatego, że nosi na grzbiecie żółty znak, podobny z kształtu do trupiej główki. W nocy, gdy pszczoły siedzą cicho, wciska się ona do ula, miód wyjada, roboty im psuje, nawet czasem obiera tam sobie mieszkanie, bo żądło pszczoły nie wnika w jej ciało przez grubą skórę, jaką ma na sobie. To też, choćby człowiek porobił większe wejścia do ula, pszczoły zarazby je zamurowały.

— Czy wszystkie pszczoły na świecie mieszkają w takich zamkach, z kolorowymi dachami i ścianami, obitemi słomą? — zapytał Gucio.

— O nie, w każdym kraju mają inne mieszkania; u nas te ozdobne budynki niedawno weszły w użycie. Po większej części pszczoły mieszcza się w wysokich pniach, wydrążonych wewnątrz, nakrytych małym słomianym daszkiem i wyglądających, jak wieże, albo w dziuplach drzew, po lasach. Te oto budynki, które widzisz, są dla pszczół wygodniejsze, a przez to więcej sprzyjające gromadzeniu miodu. Ale już dość tej gawędki; rozwijaj skrzydła — i lećmy!

---

## XI.

### Królowa daje Guciovi posłuchanie.

---

Wkrótce potem wchodzili oboje na duży, pochyły pomost, wiodący do okienka, będącego głównem wejściem. Towarzyszka Gucia, cała obładowana pyłkiem, tak była zmęczona, że ledwie szła. Niedaleko okienka nogi odmówiły jej posłuszeństwa, i ześlizgnęła się na dół; ale mała baryerka, otaczająca pomost dokoła, przeszkodziła jej upaść w trawę.

— Ach, jakie też wy, baby, jesteście słabe! — zawołał Gucio przelękniony. — Pewnieś sobie nóżkę złamała?

— Bądź spokojny, nic mi się nie stało — odrzekła, podnosząc się rażno — tylko troszeczkę pyłku rozsypałam. Widzisz, ten pomost i tę baryerkę ludzie umyślnie zbudowali, żeby nam było lżej wchodzić z ładunkiem, i żeby nas zabezpieczyć od spadania. Bardzo oni pamiętają o wygodach i potrzebach pszczoł, za co też potem sowitą w miodzie biorą zapłatę.

U wejścia stało kilka pszczół, będących na straży, i te, na widok przybywających, wysunęły się ku nim na pomost z wycelowanemi żądlami; ale księżniczka oznajmiła przybycie człowieka pokutującego i prosiła, aby go wpuszczono.

Przez chwilę słychać było tylko za okienkiem równy odgłos grubego mrużenia, jakby echo mielenia w żarnach, nareszcie jedna z pszczół ukazała się i wyciągnęła łapkę.

— Podaj swój paszport — szepnęła mu Joasia.

Gucio, domyśliwszy się odrazu, o co idzie, zdjął swoją czerwoną czapeczkę i podał przez okienko. Wielka odźwierna, obejrawszy czapeczkę z uwagą, zwróciła mu ją natychmiast, mówiąc, że może wejść. Joasia szła pierwsza, a on za nią, i zaraz na początku dziwny widok uderzył jego oczy: przy okienku stało kilka robotnic, wachlujących skrzydełkami tak pracowicie, że na przychodzących żadnej nawet nie zwróciły uwagi! Wachlowanie to wywoływało lekki orzeźwiający prąd powietrza. Guccio stanął zdziwiony.

— Joasiu, dlaczego one się tak męczą?—zapytał.

— Odświeżają powietrze — odpowiedziała. — Jest to konieczne dla utrzymania zdrowia mieszkańców ula. Chodźże, chodź za mną, nie zatrzymuj się, bo i tak już bardzo się spóźniłam.

Obejrawszy się jeszcze kilkakrotnie na wachlujące pracownice, Guccio szedł za Joasią, która prowadziła

go wązkim korytarzem, przez cały szereg arkad, sztucznie pokrzyżowanych.

— Powiedz mi, dlaczego te korytarze są tak ciasne, że ledwie można się nimi przecisnąć? — zapytał znowu swojej przewodniczki.

— Żeby trupia główka, która jest bardzo gruba i opasła, nie dostała się do ula. Zostań tu tymczasem, Guciu; pójdę do królowej i poproszę o posłuchanie dla ciebie.

To powiedziawszy, oddaliła się.

Długa chwila upłynęła, zanim Gucio oswoił się z panującą w ulu ciemnością, i zdołał rozróżnić znajdujące się w nim przedmioty. Stały tam plastry miodowe, niby ściany, oddalone od siebie na szerokość małego palca; wiele komórek w ścianach było wypełnionych i pozamykanych woskowymi pokrywami, a wiele próżnych, przygotowanych dla mającego się z pola przynieść miodu. Przypatrując się temu, Gucio dziwił się równości komórek i jednostajnej grubości ich ścianek. Zdawałoby się, że nauka rozmierzania i budowania jest pszczołom doskonale znaną.

Koło niego tłumno było i gwarno: pszczoły pracowały, jak robotnicy w fabryce. Jedne znosiły materiały: pyłki kwiatowe w koszyczkach, słodkie soki kwiatów w żołądku, a na łapkach sok lepki, żywiczny, którym zalepiały szpary i otwory niepotrzebne; inne czyściły i porządkowały — inne jeszcze pomagały

swoim siostrom zdejmować z koszyczków i ze skrzydeł pyłek, którym tamte były obładowane. W jednej stronie pomiędzy tłumem skrzących robotnic wszczął się hałas i wołanie jakby na trwogę: Gucio, rozumiejący języki wszystkich stworzeń, jakie tylko spotykał od chwili swego zaczarowania, dowiedział się, że plaster jeden począł się obsuwać i grozić obaleniem. Natychmiast pszczoły złożyły naradę, zaczęły znosić materiały i zabrały się do budowania słupów, arkad i podpórek. Na Gucia, zdawało się, nikt nie zważa, jakby go nie było — ale on zważał na wszystko i czuł się zawstydzony widokiem pracowitości drobnych owadów.

Jedna zwłaszcza pszczołka bardzo go zajęła. Z początku zdawało mu się, że ona nic nie robi; ale, przyjrawszy się jej baczniej, zauważył, że z pomiędzy obrączek jej ciała wydziela się biała przezroczysta łuszcza. Zdziwiło go to bardzo i, gdy jego przyjaciółka Joasia wróciła, wzywając go do królowej, wyjawiał jej powód zdziwienia, pytając, co to ma znaczyć.

— Ona wosk robi — odpowiedziała.

— Wosk? Czyż wosk nie zbiera się z kwiatów, tak samo jak miód?

— Gdzie tam! wosk jest to poprostu tłusty pot, który pszczoła z siebie wydziela w postaci łuszczy, łuszcza ta, zmieszana ze śliną pszczoły, jak naprzykład glina z wodą, jest właśnie tym materiałem, z któ-





Zakł. Fotoch. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa.

Królowa daje Guciowi posłuchanie



rego budują się plastry z komórkami. To tylko słodycz i pyłek zbiera się z kwiatów. Ale królowa matka nie może czekać! Chodźmy już, chodźmy! Po skończonem posłuchaniu oprowadzę cię po ulu i wszystko pokażę.

— Dlaczego nazywacie ją matką? — pytał Guccio, którego wszystko dziwiło.

— Bo ona jest prawdziwą matką całego rodu; ona jedna znosi jajka, z których wylęgają się później pszczoły robocze. Nie myśl, że królowa pędzi próżniacze życie: dużo się ona namęczy, zanim zniesie przeszło tysiąc jaj dziennie i każde umieści we właściwej komórce.

Guccio postępował w milczeniu za swoją towarzyszką, między ścianami plastrów — i gdy kilka minęli, zobaczył kratę metalową, sięgającą od góry aż do dołu, a Joasia objaśniła go, że ta kratka właśnie przegradza mieszkanie królewskie od reszty budynku.

Mieszkanie to nie odznaczało się niczem nadzwyczajnem. Takie same tam znajdowały się ściany plasterowe, tylko w komórkach mało było miodu; zapełniało je za to co innego; w jednych leżały jajeczka, tylko co zniesione, w postaci małych białych niteczek, w innych widać było zwinięte w kłębek robaczki białe także, leżące nieruchomo, jakby śpiące — i do tych zaglądały raz po raz pszczoły, niosąc im pożywienie; inne jeszcze komórki pozamykane były ciemnymi wypukłemi pokrywami.

Jej Królewska Mość siedziała poważnie u góry na plastrze, otoczona licznym dworem, baczny na każde jej skinienie, a jedna mała pszczołka podawała jej trąbką pożywienie. Okazałą postawą i wzrostem królowa tak bardzo różniła się od innych pszczół, że od pierwszego rzutu oka można w niej było poznać monarchinią. Strój też okrywał ją bogatszy, odpowiedni piastowanej przez nią godności. Pierścienie brzuszka miała złocisto ubarwione, a łapki delikatne, bursztynowe, ale bez koszyczków i szcoteczek — te bowiem nie były wcale potrzebne, jako nigdy nie robiącej wycieczek na kwiaty po słodycze. Po komnacie przechadzała się poważnie jakaś dostojna osobistość, odznaczająca się także wzrostem, dorodnością postaci i różkami na głowie, większymi, niż miały wszystkie inne pszczoły. Osobistość ta, spostrzegłszy wchodzącego Gucia, jakby wstydząc się swojej bezczynności, podjęła z ziemi cieniutką długą słomkę i stanęła z nią przy kracie, pełniąc niby obowiązki marszałka dworu.

— Kto jest ten jegomość? — zapytał pocichu Gucio swej przewodniczki.

— To książę Truteń, syn królowej: on i jego bracia, których jest kilkuset, dotrzymują towarzystwa Najjaśniejszej Pani. Ale cicho bądź, bo ona teraz na nas patrzy.

Jej Królewska Mość, obtarłszy pyszczek, odprawiła służebną pszczołkę majestatycznym ruchem i zeszła ku dołowi. Utopiwszy bystre spojrzenie swych pięciu ocz w Guciu, który z pewną nieśmiałością postępował ku niej, przemówiła, zwracając się do Joasi:

— Czy to jest ów człowiek pokutujący, o którym mi opowiadałaś?

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani—odpowiedziała— i, trącając Gucia, szepnęła doń:—Odezwiż się! stoisz, jak niemy. Co królowa o tobie pomyśli!

Gucio zdjął czerwoną czapeczkę i, obracając ją w łapce, rzekł, jękając się trochę:

— Chciałem prosić Waszej Królewskiej Mości o pozwolenie zwiedzenia całego ula.

— I owszem — odrzekła łaskawie — znam twoją historię, chłopcze, i wiem, że masz wrodzony wstręt od pracy.

Gucio spuścił głowę.

— Może nauczysz się ją szanować i cenić, tak jak się nauczyła twoja przyjaciółka Joasia, gdy się rozpatrzysz w urządzeniach naszego państwa. Joasiu, oprowadź gościa i pokaż wszystko, co tylko może go interesować: nasze zapasy, warsztaty, zakłady wychowawcze, a nie zapomnij przytem poczęstować go miodem.

To powiedziawszy, Jej Królewska Mość dała znak łapką, że posłuchanie skończone, i odeszła w górę ze swoim orszakiem. Joasia miała nadzieję, że się ono

przeciągnie dłużej; ale upał na dworze był straszny, gorąco w ulu trudne do zniesienia, więc monarchini skinęła na swoje damy honorowe, a te, spuściwszy się na sam dół ula, rozpostarły skrzydełka i zaczęły niemi wachlować w taki sam sposób, jak tamte, które Guccio widział przy wejściu. Ożywczy prąd świeżego powietrza dochodził aż do królowej.

— Jakież wrażenie zrobiła na tobie królowa matka? — spytała go Joasia, gdy się nieco oddalili.

— Przyznam ci się — odrzekł z pewnem zakłopotaniem— że wszystko, co tu widzę, jest dla mnie zupełnie nowe. Jak żyję, nie widziałem nigdy żadnego króla inaczej, jak na obrazku, i to byli wszystko ludzie z wężami i koronami na głowach, ale żeby owady rządziły poddanymi, to mi się wydaje tak dziwnem...

— Królowa nie rządzi, tylko panuje, bo, gdzie jest zgoda i miłość wzajemna, gdzie każdy obowiązki swoje spełnia, tam wszelki rząd jest zbyteczny. Pszczoły robocze nie uważają się za poddanych, tylko za dzieci, a królową otaczają wygodami, czcią i miłością, jako matkę rodu.

— Dlaczego księżę Truteń ma taką smutną minę?

— A, bo wie, że niezadługo pójdzie na wygnanie.

— Na wygnanie? cóż on takiego zrobił? Czy spisek uknuł na życie królowej, czy może buntował pszczoły, albo wszedł w stosunki z nieprzyjaciółmi państwa?

— O nie, tylko, widzisz, on nie lubi pracować, więc przez lato, gdy w ulu jest dużo miodu, pszczoły go żywią; ale gdy zima nadchodzi i w szpiżarniach trzeba zaprowadzić pewne oszczędności, wtedy książę zmuszony jest opuścić państwo, w którym jest tylko próżnym ciężarem. Jeżeli się wzdraga, pszczoły go zabijają.

— Ależ to jest okropne! — zawołał ze zgrozą.

— Nie, to jest tylko sprawiedliwe, próżniak bowiem nie wart żyć na świecie. On sam to czuje i, ilekroć ktoś obcy wejdzie do ula, książę udaje zawsze, że coś robi.

Krew uderzyła do głowy Gucia tak gwałtownie, że myślał, iż go zaleje. „Próżniak nie wart żyć na świecie“ ... okrutny ten, ale sprawiedliwy wyrok wgryzał mu się w mózg i w serce. Zdawało mu się, że ściany ula zawałały się i zgmiotą jego wątłą postać swoim ciężarem, albo że zginie taką samą śmiercią, jak książę Truteń. Był próżnym ciężarem dla swoich rodziców i sam się dziwił, że Bóg pozwolił mu żyć do tej pory. Jakże ten dobry Bóg był cierpliwy, że czekał na jego poprawę dotąd; jakże dobrzy byli rodzice, że go dotąd nie wypędzili z domu!

— Co ci pokazać naprzód? — pytała go przewodniczka — może komórki, w których wychowują się młode pszczołki? One są tutaj.

— Dobrze — odrzekł machinalnie, nie przestając porównywać siebie z księciem.

— Patrz — mówiła Joasia, pokazując mu cały szereg — oto są komórki, w których królowa matka przed trzema dniami poskładała jajka. Z nich wylęgają się gąsieniczki, ale nie wychodzą z komórek, bo pszczoły robocze karmią je smacznem, pożywnem mleczkiem, przyrządzonem z przetrawionego we własnych ich żołądkach pyłku kwiatowego, wody i miodu. Po ośmiu dniach gąsieniczki oprzędują się cieniutką i, jak śnieg, białą tkaniną, w której wyglądają, jak w koszulkach, i w poczwarki się zamieniają, a pszczoły robocze zlepiają ich komórki woskiem. Zamknięcie to trwa dwanaście dni, poczem poczwarka, w pszczołę przemieniona, pragnie wydostać się z zamknięcia. Ale uważaj tylko: czy słyszysz ten szmer tu obok?

— Słyszę — odpowiedział — co to jest?

— Cicho bądź i uważaj.

Gucio był posłuszny: milczał i nie spuszczał oka z komórki, z której szmer wychodził. Po chwili w komórce zrobił się otworek tak mały, jak od ukłucia szpilką, a w nim ukazały się malutkie kleszczyki, pracujące nad rozszerzeniem go. Z każdą chwilą otworek powiększał się, poczem wysunęły się przezeń dwie cieniutkie łapki. Następnie łapki te uchwyciły się silnie brzegów komórki, zrobiły ostatnie wysilenie, i wyszła z więzienia młodziutka siwa pszczołka, cała opylona.



Skrzydółka jej były zmięte, a ona sama z osłabienia zaledwie się trzymała na nogach. W tejże chwili przybiegły dwie pszczoły robocze, zaczęły ją całować, oczyszczać z pyłu, prostować skrzydółka, nakarmiły świeżym miodem i zabrały z sobą.

— To pewnie guwernantki! ale gdzie one ją prowadzą? — pytał Guccio.

— Do innych młodych pszczołek, jej siostrzyczek, które zajmują się łatwiejszymi pracami domowymi. Za kilka oni będą ją uczyły latać.

— A te wielkie komory owalne, kształtu jajowatego, co to jest?

— To są mateczniki: w nich pszczoły robocze, troskliwe o następstwo tronu, w razie zgonu królowej lub przeniesienia się jej z częścią pszczoł do innego państwa, przysposabiają matki. Umyślnie budują im duże komórki, aby gąsieniczki, mając więcej miejsca, lepiej się rozwinęły i uzdolniły do znoszenia jajek w wielkiej ilości. Z tego też względu królowy bywają najlepszą i najposilniejszą potrawą karmione.

— Czy pszczoły robocze nie znoszą wcale jajek?

— Nie. Chodź teraz zobaczyć nasze zapasy. Znajdują się one w górze, najbliżej dachu.

I poprowadziła go ku górze: komórki tam były dłuższe, plastry grubsze, a przejścia między nimi węższe.

— Patrz — mówiła, wskazując łąpką — oto są różne gatunki miodu: ten ciemny jest wrzosowy, ten jaśniejszy gryczany, ten biały akacyowy, ten zaś zielonawy pochodzi z lip i rzepaków.

— Czy pszczoły z każdego gatunku kwiatów osobno słodycz zbierają? — zapytał Gucio.

— O nie! zbierają z takich, jakie po kolei napotyka; ale miód nabiera tego lub owego smaku od kwiatów, jakich więcej bywa kwitnących w tej lub owej porze. Któregoż chciałbyś skosztować?

— Spróbuję lipowego — odrzekł po namyśle — słyszałem, że ma być najsmaczniejszy.

Joasia otworzyła jedną komórkę, i Gucio zaczął wysysać trąbką wyborny gęsty miodek. Gdy zaspokoił pierwsze pragnienie, pszczołka zalepiła komórkę, a otworzyła akacyową, zachęcając go także do skosztowania. Tak kolejno próbując wszystkich gatunków miodu, zachwycił się jego przedziwnym smakiem i zapachem, dziwił się licznym odcieniom barw i czystości tego przysmaku.

— Prawda, Joasiu, że ludzie krzywdzą pszczoły, zabierając im miód, nagromadzony z taką pracą i trudem?

— Ale gdzie tam! pszczoły nigdy nie zdołałyby spotrzebować dla siebie tego wszystkiego, co nagro-

madzą. Człowiek zabiera tylko to, co jest zbyteczne, i należy mu to się słusznie za opiekę, jaką nad pszczołkami rozciąga. On buduje ul, on je czyści, on też i karmi czasem pszczoły, jeżeli miodu zabraknie; on je leczy, jeżeli chorują.

Zajęci kosztowaniem miodu i rozmową, nie zauważyli, że strażę, pilnującą wejścia, dały znak trwogi cieniutkiem piszczaniem; dopiero gdy w ulu zrobił się ruch ogromny, gdy pszczoły przełknięte zaczęły biegać, wołając: „nieprzyjaciel! nieprzyjaciel!“, spostrzegli, że jest jakieś niebezpieczeństwo.

— Co się stało? — zapytał Guccio swojej przewodniczki, cisnąc się za innymi w korytarz i widząc z daleka, że strażę potroiły się u wejścia i wycelowały swoje żądła, jako broń.

— To pewnie żoła — odpowiedziała Joasia — chodźmy bliżej, to zobaczymy.

Nieprzyjaciela nie było i nie mogło być w ulu; taki duży ptak nie zmieściłby się w żaden sposób przez ciasne okienko. To też nie kusił się nawet o to. Obrął sobie stanowisko na pomostku, a przez otwór wsunął tylko swój długi, lepki język, szukający miodu.

Cały oddział pszczoł zatopił żądła w tym języku, ale o zgrozo! język zabrał żądła razem z pszczołami, które ani się spostrzegły, jak je wciągnął do gardła, skąd się dostały do żołądka ptaka. Po chwili znowu język ukazał się w otworze.

Zniknięcie walecznych obrońców wznieciło niemały popłoch w reszcie mieszkanek ula. Nastąpił chwilowy odwrót z placu boju i wielka narada wojenna; ale zanim powzięto jakiegokolwiek postanowienie, rozległ się strzał, od którego aż ściany ula się za-trzęsły. Wejście do niego zostało nagle odsłonięte, i coś ciężkiego spadło na ziemię.

## XII.

### Gucio rozstaje się z księżniczką.

Gucio, wiedziony ciekawością, wybiegł wraz z innymi przez okienko na pomost i ujrzał na ziemi ślicznego ptaka, stojnego w pierze żółtawo-zielone, w ponsowy czubek na głowie i także podbrzusze, broczącego we krwi. O kilkanaście kroków dalej stał młody wieśniak w płótniance i dużym słomianym kapeluszu, z dymiącą jeszcze strzelbą w ręku. Gucio domyślił się w nim pasiecznika.

Pszczoły tłumnie otoczyły dogorywającego nieprzyjaciela, który już przestał być dla nich niebezpiecznym. Oglądały go, siadały mu na głowie, latały dokoła, brzęcząc złośliwie i jakby usiłując mścić się za przeszkodę w pracy, zakłócenie im spokoju i pożarcie towarzyszek.

Ptak, nie mający już siły do obrony, musiał znosić te wszystkie przykrości. Nareszcie spojrział żalonym

wzrokiem na słońce, wyciągnął się i skonał... Guciowi aż słabo się zrobiło od tego widoku.

— Za chwilę tu pewnie zjawią się grabarze — rzekł do Joasi. — Widziałem już dziś jeden pogrzeb, na drugim być nie chcę. W ulu też widziałem już wszystko, co było do widzenia, pójdę więc w dalszą drogę; podziękuj w mojem imieniu królowej za jej łaskę i gościnność. Gdybym wiedział, że tutaj mogę ci się na co przydać, zostałbym chętnie, ale ty sama powiadasz, że ci nic nie zdołam pomódz.

Przekonanie, że niepotrzebny jest Joasi, przykre było Guciowi; miał bowiem w sobie niemało rycerskiego zapалу i, gdyby mógł odegrać rolę bohatera, byłby rad bardzo.

— Widzę ze wszystkiego, że jesteś poczciwym chłopcem — odpowiedziała — ale sam rozważ, na co przydać mi się możesz? Nie masz koszyczków na tylnych nogach, więc mi pyłków i żywicy nosić nie pomożesz; mleczka dla królowej matki i dla małych dzieci nie umiałbyś też przyrządzać, bo jesteś inaczej zbudowany; nie masz naczynia do noszenia miodu, jak my wszystkie. Nie masz kleszczyków, którymi mógłbyś budować komórki woskowe, zlepiać kitem żywicznym szpary i wykonywać tysiączne roboty, jakich wymaga utrzymanie porządku w ulu, jak naprzykład wynoszenie nieżywych pszczoł, oczyszczanie komórek, wyrzucanie śmieci. Powiedz sam, czybyś to mógł ro-

bić? Naturalnie że nie, bo nie jesteś pszczołą. Widzisz więc, że nie masz po co dla mnie tu zostawać, bo w niczem nie polepszyłyś mego losu. Z początku bardzo płakałam i rozpaczałam, ale widząc, że to nic nie pomoże, dałam pokój. Muszę cierpieć pokutę, dopóki wróżka sama mnie od niej nie zwolni. Czy chcesz, żebym cię odprowadziła za pasiekę?

— Byłbym ci bardzo wdzięczny.

Polecieli razem przez gęstwinę lasu, aż do drogi, na której widać było głębokie ślady wozów.

— Tutaj muszę się z tobą pożegnać — rzekła ze smutkiem Joasia — życzę ci, żebyś był szczęśliwszy ode mnie... to jest... żeby twoja pokuta skończyła się prędzej.

Głos jej zadrżał, i łzy rzęsiste popłynęły z oczu.

— Biedna Joasiu — rzekł Gucio wzruszony — twoja służba musi być bardzo ciężka!

— Ach! nie o to mi idzie, wierzaj mi. Choćbym musiała dziesięć razy więcej pracować, nie czułabym się jeszcze nieszczęśliwą, bo widzę, że człowiek o tyle tylko jest coś wart, o ile jest innym użyteczny. Ale to mię dręczy, że tak długo nie mogę przeprosić Maryanny za wyrządzoną jej krzywdę. O Boże! jakże ciężko jest żyć z grzechem na sumieniu!

Gdy to mówiła, z pomiędzy drzew wysunęła się wysoka postać, okryta czarnym, jak noc, mieniącym się iskrami płaszczem, z pod którego wyglądały siwe

kosmyki włosów. Twarz miała od starości pomarszczoną, wystającą brodę i ogromny nos, na którym opierały się szkła okularów. Oczy, patrzące przez wierzchy tych okularów, jaśniały nadzwyczajnym blaskiem, a takie były przenikliwe, że wzrok ich trudno było wytrzymać. W ręku trzymała złotą laseczkę.

— Wróżka! Wróżka! — zawołali oboje razem, a serca ich zbolełe i znękanie uderzyły nadzieją.

— Słyszałam twoje słowa — rzekła do Joasi głosem poważnym i uroczystym — i widzę, że twój charakter uległ ważnej zmianie. Pszczoły nauczyły cię rozumu i sprawiły, że możesz powrócić do ludzi. Wracaj do matki, która tęskni za tobą, i sercem staraj się wynagrodzić krzywdę, wyrządzoną przywiązanemu do ciebie sercu Maryanny.

Wyciągnęła rękę i dotknęła laseczką pszczołki. W tejże chwili zniknął mały skrzydlaty owad, a na jego miejscu Gucio ujrzał śliczną ośmioletnią dziewczynkę, w różowej muślinowej sukience. Jej biała, delikatna twarzyczka otoczona była ciemnymi włosami, a oczy błyszczały radością. Chciała dziękować wróżce, ale już jej nie było. Nagle krzyknęła z radości. O kilka kroków przed nią, na drodze, stał piękny otwarty powóz, a zaprzężone do niego siwe konie rwały niecierpliwie piasek kopytami. W głębi powozu siedziała kobieta średnich lat i wyciągała do niej ręce z czułością. Była to księżna. Joasia zapomniała



o wróżce, o czarach, o Guciu, o wszystkim; pobiegła coprędzej i wskoczyła do powozu. Stangret palnął z bata, koniki ruszyły z miejsca, i po chwili z całego widowiska został tylko tuman kurzawy.

Gdy wszystko zniknęło, Guciuowi serce ścisnęło się boleśnie.

— Ach, wróżko! dobra wróżko! — wołał rozpaczliwie — wróć się, wróć i zdejm ze mnie czary, tak jak je zdjęłaś z Joasi! I ja też nauczyłem się czegoś i przysięgam, że się poprawię zaraz, natychmiast, nie odkładając już do pierwszego. Ja tak dawno nie widziałem mateczki, ojca, Helusi... tyle wycierpiałem! O! litości, litości!

Czarna wysoka postać w płaszczu, mieniącym się iskrami, jakby zmięczona namiętnymi prośbami chłopca, stanęła znowu przed nim.

— Twój czas nie nadszedł jeszcze — wyrzekła uroczyście i zniknęła, a z nią razem ostatnia nadzieja biednego pokutnika.

Łzy rzuciły mu się z oczu. Długo tak stał, pogrążony w boleści, nie wiedząc, w którą zwrócić się stronę, bo, czy uda się w prawo, czy lewo, wszystko jedno, zawsze będzie jednakowo nieszczęśliwy.

— Joasia jednak miała więcej męstwa ode mnie — rzekł do siebie po chwili — bo umiała się godzić ze swoim losem. Miałżebym ja być słabszy od baby? Nie, za nic w świecie!

Otarł łzy kosmatemi łapkami, do których się już o tyle przyzwyczaił, że nie budziły w nim takiego wstępu, jak z początku, i, tłumiąc płacz, podniósł oczy w niebo, jakby je brał na świadka, że pragnie być prawdziwym mężczyzną.

W lesie było gwarно i wesoło, ptaszki wyśpiewywały na wszystkie tony. Sikorki wieszały się na cieniutkich gałązkach brzeziny i huśtały, jaskółki gonily w powietrzu owady. Dzięcioł przelatywał z drzewa na drzewo i opukiwał je, jak doktor, badający chorego; a którego dźwięk wydawał mu się podejrzanym, zaraz w jego wnętrzu szukał poczwarek, będących ulubionym jego przysmakiem. Wszystko było jakąś robotą zajęte i znać nie przykrzyło jej sobie, bo krzątało się żwawo i śpiewało przytem radośnie. Gucio, któremu odgłos tego wesela był przykry, bo nie mógł go podzielać, przeleciał ponad lasem i ujrzał przed sobą pole, drogę, wysadzoną wierzbami, cmentarz, rozłożony na wzgórzu, wieżę kościołka, dwór i gromadę chat wieśniaczych, rozrzuconych malowniczo w dolinie. Widok ten dobrze mu był znany: znał każdą chatę i wiedział, do kogo należy, a tą drogą, wierzbami wysadzaną, jeździł często na spacer, na swoim siwo-jabłkowitym koniku.

Wieśniak jakiś orał właśnie pole pod ozime zasiewy: dwa piękne, czerwone woły ciągnęły pług, krający ziemię w równiuteńkie pasy i odkładający na bok skibę za skibą. Wieśniak pośpiewywał sobie i, idąc obok

pługa raz po raz klepał woły przyjaźnie po karku. W ślad za pługiem postępowała gromada ptactwa. Naprzód na wysokich czerwonych nogach poważnie kroczył bocian i ostrym, długim dziobem wyławiał z ziemi gąsienice chrabąszczów, które świeżo odrzucona skiba na wierzch wyrzucała, a które, przez trzy lata w tej postaci pozostając w ziemi, podgryzały korzenie roślin. Za bocianem wrony, kawki, gawrony, skowronki, pliszki całymi stadami dreptały i skakały po parującej wilgocią roli, wyławiając także gąsienice i robaki.

— Ptaszki pomagają poczciwemu Walentemu — rzekł do siebie Guccio i siadł na wysokiej grudce ziemi, przypatrując się polowaniu skrzydlatych robotników.

Ale wkrótce spostrzegł coś, co całkowicie pochłonęło jego uwagę. Z ziemi, przesiąkniętej nawskroś obficie przed dwiema godzinami padającym deszczem, wychodziły gromadki glist ziemnych i ruszały się z niepojętą żwawością, jakby zabierając się także do roboty.

Guccio widywał nieraz glisty, gdy je chłopcy wiejscy, idący z wędkami na ryby, brali z sobą na przynętę i zatykali na ostrze haczyka; ale nigdy nie przyszło mu do głowy przyjrzeć się temu nieponętnemu stworzeniu. Teraz zobaczył ze zdziwieniem, że one nie mają ani nóg, ani oczu. Zaciekawiony, co też takie kaleki robić mogą, zaczął je bacznie śledzić. Z zajęciem przy-

patrywał się różowawemu, przezroczystemu ciału robaczka, złożonemu z mnóstwa obrączek, kurczących się i rozciągających nieustannie bardzo żwawo. Glisty szukały liści wilgotnych, przegniłych i z ręcznie je wciągały do swoich podziemnych kryjówek. Ćucio nie pojmował, jak one, nie mające przecież oczu, mogły wynajdywać listki. Czyżby Bóg obdarzył je jakim odrębnym, zastępującym wzrok zmysłem pomocniczym?

Zdziwienie jego jeszcze bardziej wzrosło, gdy ujrzał glistę, połykającą ziemię za pomocą małego pyszczka. Uczuł w sercu wielką litość nad robaczkami, jedzącymi rzeczy tak niestrawne.

— Biedne robaczki, co wy robicie! — przemówił serdecznie — nie jedzcież ziemi, bo się wszystkie pochorujecie!

Robaczki, jak pracowały schylone, z pyszczkami, zanurzonymi w ziemię, tak wszystkie popodnosiły łebki i słuchały; nareszcie jeden przemówił głosem cichym, podobnym do najłżejszego westchnienia wiatru.

— Tyś pewnie człowiek, pokutujący w postaci owada, skoro cię to dziwi, bo wszystkie muchy wiedzą, dlaczego to robimy. Spójrz na ziemię, w miejsca, tylko co opuszczone przez nas, i powiedz, co tam widzisz?

— Widzę ziemię w postaci małych cieniutkich sznureczków, nie dłuższych od was — odpowiedział.

— Otóż widzisz: każdy taki sznureczek przeszedł przez nasze ciało i w żołądkach naszych razem z przegniłymi liśćmi przetrawiony został. Jesteś pewnie na to dość rozsądny, żeby zrozumieć, że takie ustawiczne przepychanie ziemi przez cienkie woreczki rozmiękcza ją i rozdrabnia. Tym sposobem spulchniamy i przesiewamy ziemię, przerabiamy jałową na rodzajną i uprawiamy lepiej od najlepszych narzędzi rolniczych. Przytem, wędrując ustawicznie z góry na dół, ściągamy w głąb zwierzchnie warstwy, a spodnie wyrzucamy na wierzch.

— Jakto! — zawołał Guccio w najwyższem zdumieniu — więc i wy pracujecie, wy, najnędniesze, najwięcej upośledzone od natury stworzenia, wy, kalleki, ślepcy i bez nóg?...

— Jakże chcesz, żebyśmy nie pracowali? Wszystko, co żyje na świecie, pracować musi. My jeszcze nie jesteśmy najmniejszymi robotnikami w służbie u Pana świata; są istoty tak małe, że jedno ziarnko piasku jest dla nich tem, czem dla ciebie największa góra. A i te jeszcze nie żyją beзуżytecznie, ale mają swoje sprawy i swoje cele, choć wiemy, że ludzie nie zdołali jeszcze celów tych odgadnąć ni zbadać, bo małość owych istotek wymyka się ludzkiemu wzrokowi.

Guccio odczuł zawrót w głowie.

Robaczek opowiadał mu jeszcze, jak na zimę zakopuje się głęboko na kilka łokci pod ziemię, jak wy-

gniata tam sobie jamkę wygodną — wybrukowawszy ją wprzód gruzem lub drobnymi ziarneczkami żwiru — i odpoczywa, dopóki pierwsze odgłosy wiosny nie wezwą go do pracy. Mówił, że w polu na każdych stu łokciach kwadratowych ziemi pracuje ich do pięćdziesięciu tysięcy, a w ogrodach trzy razy więcej; że, przenosząc ustawicznie ziemię z wierzchu pod spód i ze spodu na wierzch, pokrywają powoli kamienie i rumowiska, rozsypane po polach, a nawet wielkie głazy i budynki. Wiele jeszcze, wiele zajmujących rzeczy mówił mu robaczek o swoim życiu, ale Gucio nic z tego wszystkiego nie słyszał. W uszach dźwięczały mu ciągle te wyrazy: „Są istoty tak małe, że ziarnko piasku jest dla nich tem, czem dla ciebie największa góra, a i te jeszcze nie żyją bezużytecznie“... i serce jego przejęte zostało drżeniem bojaźni wobec tej niezmiernej, nie dającej się obliczyć małości, która jednakże miała wyższość nad nim...

W wędrówce swojej od dnia wczorajszego spotykał różne istoty: kreta, wróbla, słowika, muchę, grabarza, pająka, pszczołę, glistę, i przy poznaniu każdej czuł się mniejszym, coraz więcej upokorzonym. Każde z tych stworzeń rzucało mu w duszę drobny promyczek, ale teraz oto nędzny ten robaczek resztę bielma zdjął z jego oczu. Nagłe światło rozświeciło jego umysł: wszystko, co istniało na świecie, na co spojrzał, czego się dotknął, było użyteczne. Cała natura pra-

cowała. Jeden wielki łańcuch łączył wszystkie stworzenia świata, a każde pojedynczo było ogniwnem, bez którego łańcuch obejść się nie mógł. Każde z osobna odrabiało swoją robotę i za to miało prawo korzystania z pracy innych. On jeden, chociaż człowiek i nie kaleka, był próżniakiem nieużytecznym... Nawet obłoki, unoszące się nad ziemią, dawały jej cień i wilgoć; słońce i księżyc także nie próżnowały, bo ono rozlewało w dzień ciepło i światło, a on przyświecał w nocy. Sam Bóg, chociaż Pan świata, przez sześć dni pracował, jak powiada Pismo Święte, a siódmego dopiero odpoczął.

Upokorzony głęboko, przygnieciony ogromem siły, którą widział i czuł dokoła siebie, a która się nazywała ruchem i pracą, upadł na kolana.

— O Boże! — zawołał, wznosząc oczy ku niebu — jakże jesteś wielki w dziełach Twoich i jakże jesteś nieskończenie dobry, że dotąd trzymasz mię na tym świecie, przenikniętym nawskroś pracą wszystkich stworzeń! O Ty! który uczysz śpiewać ptaszki, ubierasz kwiatki i każesz ziarneczkom zboża wyrastać w kłosa, ulituj się nade mną i pozwól, abym został znowu człowiekiem... Dozwól, abym, jak wszystkie Twoje stworzenia, mógł wziąć się także do pracy. Brzydzę się próżniactwem, chcę pracować i być użytecznym. Niech i ja też czemś będę. Pracy! pracy! daj mi, o Boże!

— Poszukaj jej sobie sam — szepnął mu jakiś głos wewnętrzny.

Tak, Gucio czuł, że nie powinien czekać, aż mu praca w ręce wpadnie, ale sam iść na jej spotkanie. Gdyby był znowu człowiekiem, wiedziałby, do czego się wziąć, ale jak ma pracować drobna, nic nie znacząca muszka? Ach! już wie: będzie roznosił pyłki kwiatowe, jak ta mucha ciemno-brunatna, z którą dziś rano zabrał znajomość w pałacu liliowym, i która mu odkryła tajemnicę nasionek kwiatowych.

Obejrzał się: o kilkanaście kroków dalej cały łąn pokryty był pięknymi blado-różowymi kwiatami gryki. Tam poleciał i pracował bez odpoczynku przez całe dwie godziny, jak mu się zdawało, wytrząsając pyłek z woreczków, zawieszonych na pręcikach, i przenosząc go na inne kwiaty — aż zmęczony, zlany potem, cały obsypany jakby żółtą mąką, przestał na chwilę, żeby odpocząć i sił nowych zaczerpnąć.



### XIII.

## Gucio dowiaduje się, gdzie jego mateczka chodziła na spacer.

Odgłos kroków w pobliżu dał się słyszeć. Obejrzał się; to siostra jego Helusia biegła prędko przez pole, skacząc z zagona na zagon. Miała na sobie tę samą sukienkę, w którą się była ubrała na imieniny braciszka, i ten sam biały fartuszek, który kładła na sobie, ilekroć wyręczała matkę w gospodarstwie. Płowe jej włosy, błękitnymi na końcach przewiązane wstążkami, powiewały z wiatrem, a twarzyczka zarumieniona była od prędkiego biegu.

— Gdzie też ona idzie? — pomyślał sobie Guccio — czyżby mnie szukała i przeczuwała, że tu jestem?

Serce mu mocno bić zaczęło. O, jakże on kochał tę dobrą siostrzyczkę, jak pragnął ją uściskać!

Ale Helusia nie domyślała się nawet jego obecności: przybiegła do wieśniaka, orzącego na polu

i, wyjąwszy z kieszeni woreczek, wysypała mu na rękę garstkę drobnej monety, mówiąc:

— Weźcie to, mój poczciwy Walenty, i kupcie butelkę wina dla waszej matki; zobaczycie, że ją to wzmocni na siłach. Nie dziękujcie, nie, moi kochani, niema za co — dodała, gdy Walenty, zdjawszy czapkę, obejmował panienkę za kolana. — Ja tam dziś będę u was w chacie wieczorem; schowałam dla babusi rosółu z obiadu, to go jej przyniosę.

I, jakby chcąc się od dalszych podziękowań uwolnić, śpiesznie uciekła.

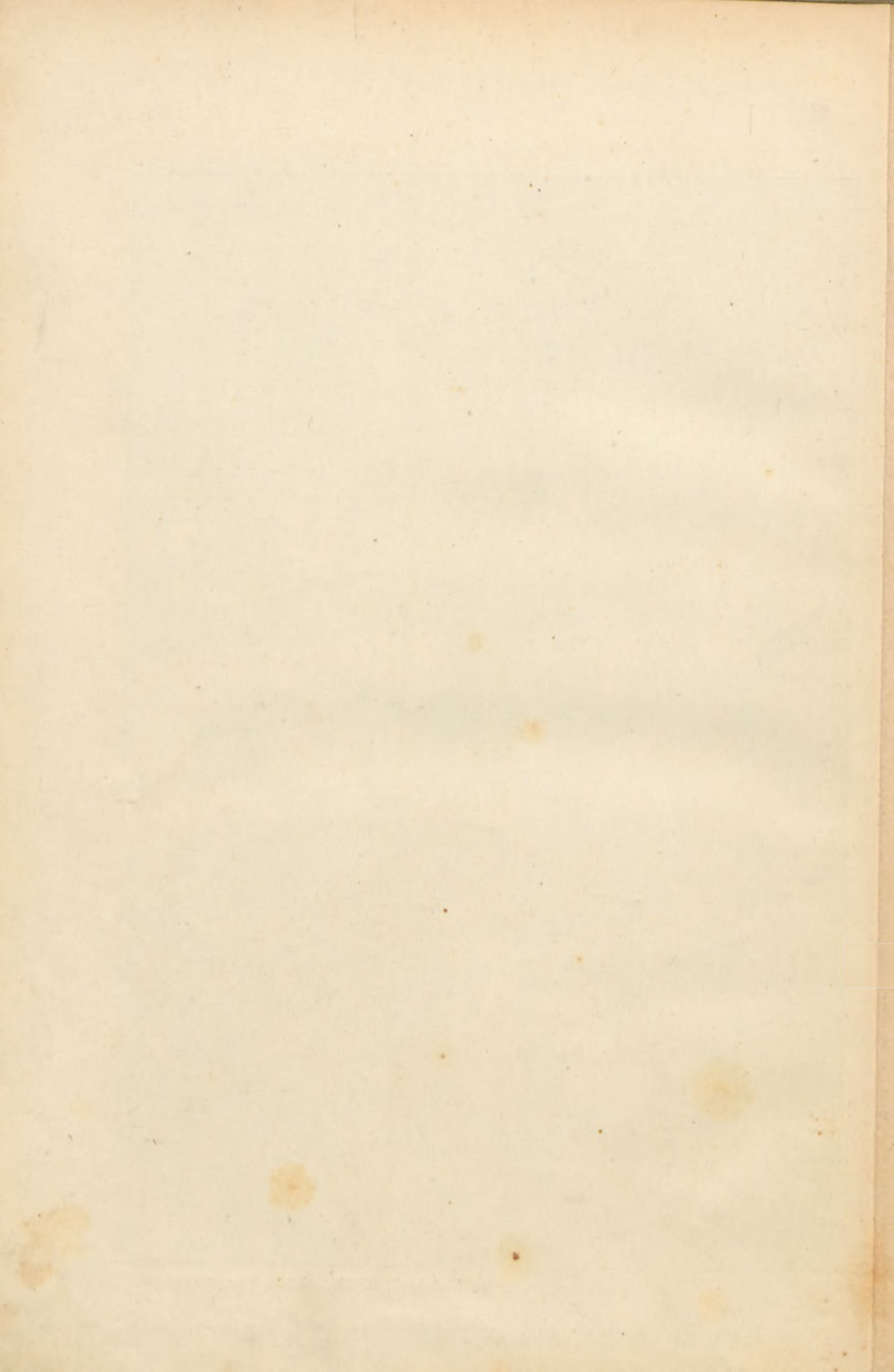
— Nazywałam ją skąpą — myślał Gucio — a ona zbierała pieniądze na lekarstwa dla biednych, nie dla siebie. A jednak nie powiedziała mi tego wcale, kiedy jej skąpstwo wyrzuciał. O ileż ona jest lepsza ode mnie, chociaż baba!

Tęskno mu się zrobiło, gdy zniknęła. Już rozwijał skrzydła, żeby ją dogonić, gdy na drodze, prowadzącej od dworu, ukazała się postać, na której widok serce Gucia zadrżało z radości. Była to jego matka. Zdawało mu się, że wieki już nie widział tej szczupłej, wysokiej postaci, pełnej godności i wdzięku — tej twarzy szlachetnej, delikatnej, otoczonej włosami ciemnoblond, i tych oczu wielkich, szarych, tak często smutnych, patrzących zawsze na niego z wyrazem bezgranicznej miłości.



Zakł. Fotoch. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa.

Łkanie gwałtowne wyrwało się z jej piersi



Pani H., bardzo zamyślona, szła prosto ku wzgórzowi, na którym widniała gromada małych i dużych krzyżów białych i czarnych, pochylonych w różne strony.

— Mama idzie na cmentarz — szepnął Guccio do siebie, czując bolesne ścisnienie serca i jakąś niewytłomaczoną obawę.

Wzbił się w powietrze i leciał za nią, unosząc się nad jej głową.

Pani H. otworzyła furtkę i, minawszy kilkanaście grobów, zatrzymała się w miejscu, gdzie obok siebie leżały dwie mogiłki: jedna większa, druga mniejsza. Obie pokryte były zieloną darniową, pomiędzy którą rosły gęsto białe i różowe stokrotki. Nad mogiłkami wznosił się krzyż brązowy, cały opleciony zwojami bluszczu, a u stóp krzyża była tablica z następującym napisem:

JANEK I ZYGMUŚ H

*zmarli razem dnia... roku...*

*Proszą o westchnienie do Boga.*

Tablicę otaczał wieniec ze świeżych kwiatów. Grób utrzymany był z nadzwyczajną starannością, snąć opiekowała się nim troskliwa i kochająca ręka; snąć ręka ta sadziła sama kwiaty, sama je podlewała i przyszytywała darń, sama oczyszczała z chwastu. Guccio wiedział już teraz, gdzie to jego mateczka cho-

dziła tak często na spacer sama jedna, i czemu pytania ojca zbywała wymijającymi odpowiedziami. Brat może zapomnieć o siostrze, przyjaciel o przyjacielu, ale matka nigdy nie zapomni o dziecku...

Gucio znał to miejsce, bywał tam czasem z siostrą, ale, jak to było jego zwyczajem, patrzył, nie widząc. Więc i szczegółów, które dziś zobaczył, nie zauważył dotąd nigdy. Słyszał on nieraz od rodziców i od Helusi smutną historję śmierci swoich starszych braci, których bardzo mało pamiętał. Obaj umarli w jednym dniu po krótkiej chorobie, na grasującą we wsi błonicę — a matka, która wiele czasu poświęcała leczeniu i pielęgnowaniu dzieci włościańskich i wyrzucała sobie, że może, za mało będąc ostrożną, własnym dzieciom przyniosła zarazę, o mało nie przypłaciła życiem tego wypadku. Słyszał, że obaj uczyli się pilnie i wróżyli świetne nadzieje na przyszłość; a on, najmłodszy, najzdolniejszy ze wszystkich, jak o nim mówiono, nie chciał się uczyć i lenistwem swoim ranił ciągle to biedne, zakrwawione serce matki, tak bardzo potrzebujące spokoju — zamiast pracować nad zabliznieniem jego ran, zamiast kochać matkę zdwojoną miłością, zamiast otaczać ją troskliwemi staraniami i odsuwać od niej wszystkie troski, wszystkie zmartwienia... Helusia to robiła — a on co? Ach, gdy nad sobą się zastanawiał, zdawało mu się, że jest zbrodniarzem! Patrząc w te smutne szare oczy, poprzysiągł sobie, że

nigdy już, nigdy ani jedna łza nie popłynie z nich z jego przyczyny.

Pani H. uknęła przy mogiłkach, popatrzyła na nie, i łkanie gwałtowne wyrwało się z jej piersi.

— Dobre z was były dzieci — szeptała — nie martwiliście rodziców lenistwem i wstrętem do nauki, tak jak Gucio, to też pewnie jesteście teraz aniołkami i macie łaskę u Boga. Proście Go, proście, żeby waszego brata natchnął Duchem Świętym i sprawił, aby pokochał pracę, od której tak ucieka na nasze zmartwienie i na swoją niedolę w przyszłości. O, moje dzieci, moje najdroższe dzieci! Boże! Boże! czemu mi ich zabrałeś?

Gucio nie mógł dosłyszeć dalszych matki wyrazów, a może nie mogła już mówić od płaczu i łkania. Taki ból gwałtowny, taki żal ciężki nad biedną mateczką i nad sobą samym przeszył jego serce, że nie widział, jak przed nim stanęła wysoka postać w czarnym płaszczu, mieniącym się iskrami, i wyciągnęła ku niemu złotą laseczkę. Nie widział nic i, zapomniawszy, że jest tylko małym owadem, rzucił się do kolan matki, wołając z płaczem:

— Mateczko! mateczko! zgrzeszyłem ciężko przed tobą, przebacz mi, przebacz!

## XIV.

### Gucio się przebudza.

— Guciu! Guciu! a wstawajże już, śpiochu! Od dwóch godzin szukamy cię po całym ogrodzie, a ty tu sobie spokojnie śpisz pod drzewem. Pięknie przyjmujesz gości!

— Dobry gospodarz, ani słowa — wołali chłopcy naprzemian, stając nad naszym bohaterem.

— I to jeszcze w swoje imieniny — dodał Janek. — Ale co tobie się śniło? Płakałeś przez sen. Musiało to być coś przykrego. Pewnie cię rozbójnicy napadli i prosiłeś ich, żeby ci darowali życie. No, gadajże!

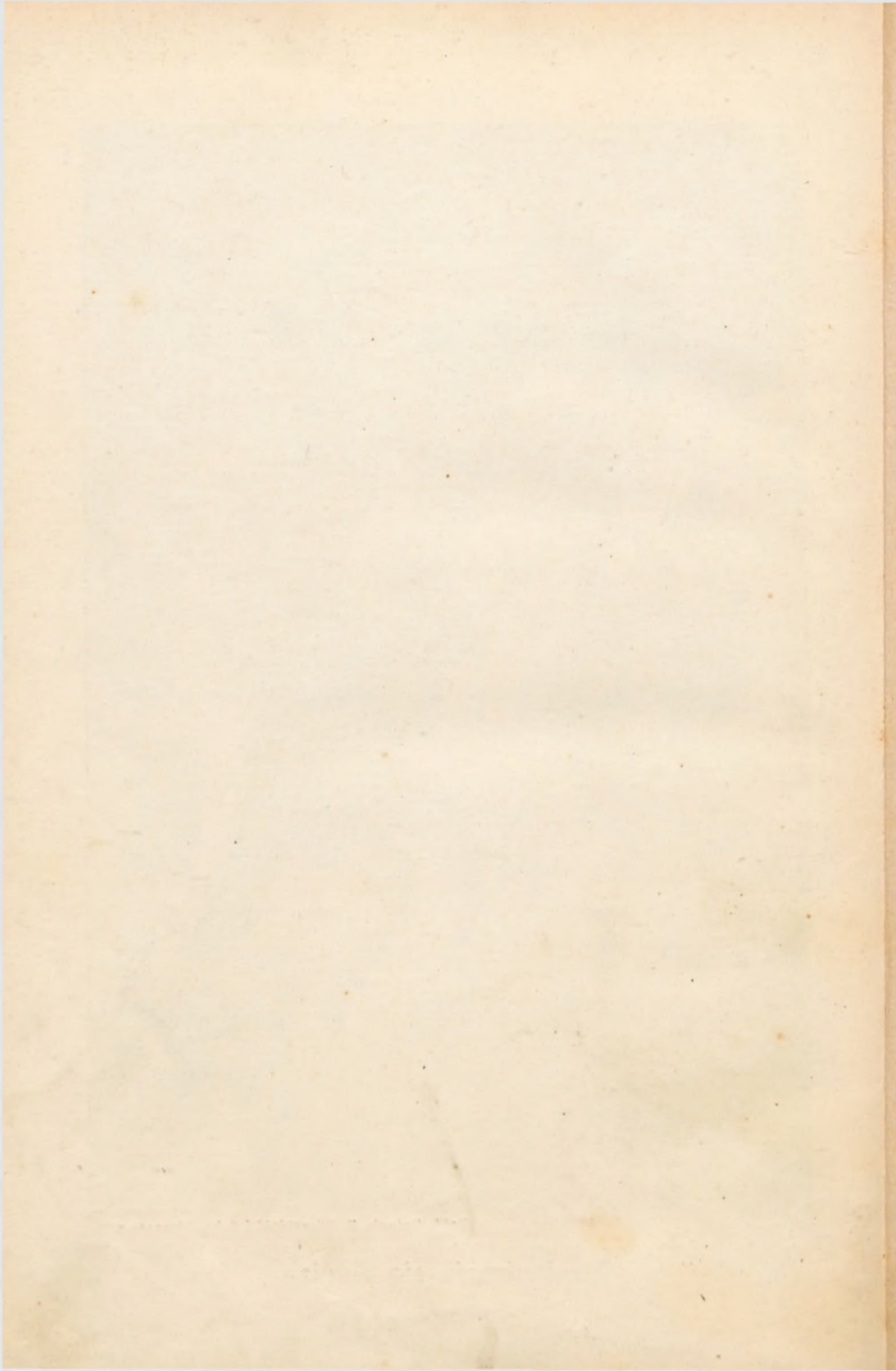
Gucio otworzył oczy pełne jeszcze łez i popatrzył najprzód na kolegów, a potem na siebie. O radości! był znowu człowiekiem. Zamiast ciemnych wzdłuż ciała obrączek miał na sobie swoje piękne niebieskie ubranie, a tuż przy nim na trawie leżał jego srebrny zegarek. A więc to wszystko co przez dwa dni wycierpiał, to był sen tylko? Dzięki Bogu!





Zakł. Fotoch. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa.

Przebudzenie się Gucia



— Gdzie mama? — zawołał nagle, patrząc po obecnych — ja chcę widzieć mamę! Mateczko! mateczko!

— Jestem synku, jestem — zabrzmiał tuż przy nim głos słodki — szukałam cię i niepokoiłam się o ciebie, ty śpieszku niedobry!

— O mateczko! — szeptał chłopiec, tuląc się do jej kolan — byłem bardzo złym synem, to też Bóg mię ukarał i zesłał mi sen straszny. Śniło mi się, żeś was wszystkich utracił, że wróżka zaczarowała mię w muchę. O mateczko, co ja wycierpiałem! jak tęskniłem do ciebie! Przebacz mi po raz ostatni! Będę się uczył, będę pracował, zobaczysz! Ale ty za to, mateczko kochana, nie będziesz już płakać tam, na cmentarzu... Czy dobrze?

Kochające ramiona objęły syna i przytuliły do piersi, a biedny chłopiec, wzruszony tą tkliwą pieśszczotą, płakał tak gwałtownie, tak bardzo, że aż drżał cały.

— A to co znowu! — zabrzmiał mu nad uchem tubalny głos dziadka, który, niespokojny także, przywędrował za innymi na swej drewnianej nodze, w towarzystwie ojca Guciowego — asan płaczesz? Wstydzę się, mości wnuku, żeby beczeć, jak baba! Mężczyzna beczy! słyszane rzeczy!

— Dziaduniu — odrzekł Gucio, obcierając oczy — niech się dziadunio nie gniewa, to już ostatni raz! Będę

teraz prawdziwym mężczyzną, bo zacznę od jutra uczyć się tak pilnie, że z pewnością zdam za dwa lata egzamin do pierwszej klasy. Dziękuję dziadzi za przywiezienie nauczyciela, bardzo dziękuję.

Spiął się na palce i wyciągnął ręce, chcąc objąć za szyję dziadka. Starzec go podniósł, przycisnął do piersi i pocałował w głowę.

— Teraz mi się podobasz, chłopcze — mówił, przesuwając rękę po jego jasnych włosach — widzę, że zaczynasz mieć rozum i że będziesz jeszcze kiedyś porządnym człowiekiem. Ale opowiedzże nam do kata, co ci się śniło.

— Tak, tak, niech opowie! — wołali chłopcy.

— Ale w pokoju — dodała pani H., bo tu nad wodą zaczyna się już robić chłodno. Chodźmy, herbata już na stole.

Gucio podniósł z ziemi swój zegarek i zobaczył ze zdziwieniem, że nie więcej, niż dwie godziny, upłynęły od czasu, gdy się położył na trawie. Przyłożył go do ucha: zegarek szedł ciągle: tyk, tyk, tyk. Ostatnie blaski zachodzącego słońca było jeszcze widać, tylko na niebie ciemniało coraz bardziej, i coraz gęstsze mgły unosiły się nad stawem.

Wszyscy ruszyli do domu, i, skoro tylko zasiedli przy stole, Guccio na ogólne żądanie opowiedzieć musiał zgromadzonym swoje senne przygody, od początku aż do końca. Chłopcy słuchali z wielkiem zajęciem

i ustawicznie zwracali się do starszych z zapytaniami, czy też to może być prawda, co Guciowi śniło się o ptakach i owadach? A gdy pan Czesław oświadczył, że prawda, i że, jak na drugi raz przyjadą odwiedzić Gucia, to im pokaże przez mikroskop, przywieziony z Krakowa, różne ciekawe rzeczy, jak trąbkę muchy, skrzydło pszczoły, nogę pająka — nie posiadali się z radości i obiecali prosić rodziców, żeby im pozwolili jak najprędzej przyjechać tu znowu.

Panna Anna objaśniła z kolei, że opowiadała nieraz Guciowi o owadach i zwierzętach, ale, słuchając zawsze z roztargnieniem i myśląc przez ten czas o figlach, zapomniał wszystko, co słyszał. Sen przypomniiał mu to dopiero. Bardzo to naturalne zdawało się wszystkim, bo każdy smutek usposabia człowieka poważnie i do głębszego zastanowienia się prowadzi, duszę jego skupia niejako. Przypomina mu się wówczas wiele i z tego, co go kiedyś przelotnie uderzyło. Matka zwróciła uwagę Gucia na potrzebę zastanawiania się nad sobą samym i nad otaczającymi go szczegółami, bo ze wszystkiego można wyciągnąć świadomość, która kiedyś przydać się może. Gucio pod wpływem świeżych jeszcze marzeń sennych tem lepiej słowa mateczki zrozumiał i prawdziwość ich tem serdeczniej uznał.

Dotrzymał też słowa, danego matce i dziadkowi: zabrał się do nauki z zapałem i, co ważniejsza, nie

ostygł z tego zapachu wcale. W dobrej części było to także zasługą pana Czesława, który, poznawszy naturę chłopca, umiał go zachęcić do nauki i przywiązać do siebie. Gucio też, pojawiwszy, że nauka prowadzi do zrozumienia wielu rzeczy na świecie, pragnął jak najwięcej wiedzieć.

Będąc ciągle zajęтым, nie miał czasu się nudzić, w skutek czego i bawił się lepiej, niż dawniej, w wolnych chwilach, i twarz jego, uderzająca dawniej jakimś nieokreślonym brakiem i dziewczęcą miękkością, nabrała wyrazu męskiego. Brakuje mu wprawdzie wąsów — no, ale i to przyjdzie z czasem! Dziadek powiada, że, kiedy tylko miejsce na wąsy jest, to niema się o co kłopotać.

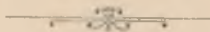
Ale nie tylko słowa, danego matce, Gucio dotrzymał — dotrzymał także i tego, które dał we śnie wróblowi. Codzień starannie zbiera wraz z Helusią okruszyny chleba ze stołu i rzuca je ptaszkom; a gdy zima nadejdzie, ojciec na jego prośbę każe zawiesić nade drzwiami dworku snopek zboża dla biednych, zgłodniałych ptaszków. Już mu to przyobiegał.

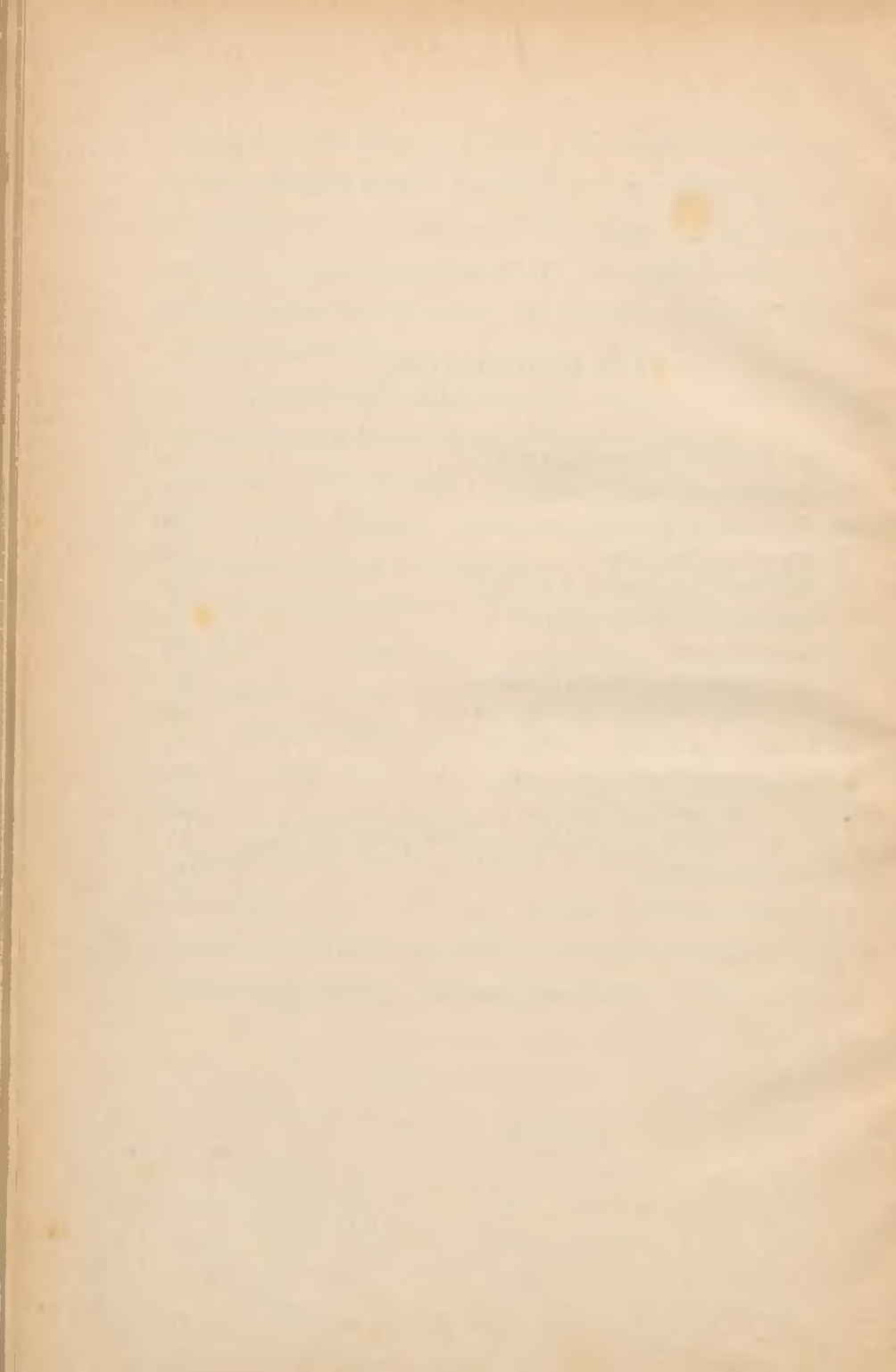


## SPIS ROZDZIAŁÓW.

---

I.	Kto jest Gucio i dlaczego się nudzi . . . . .	5
II.	Gucio obchodzi swoje imieniny . . . . .	12
III.	Gucia spotykają aż dwie niespodzianki . . . . .	20
IV.	Gucio w jaskini smoka . . . . .	33
V.	Gucio zabiera znajomość z wróblami . . . . .	47
VI.	Gucio nocuje w pałacu liliowym . . . . .	60
VII.	Czarni rycerze . . . . .	72
VIII.	Gucio odpoczywa u tkacza pustelnika . . . . .	79
IX.	Gucio ocala zakłątą księżniczkę . . . . .	89
X.	Statek Gucia przybija do królestwa pszczół . . . . .	98
XI.	Królowa daje Guciovi posłuchanie . . . . .	109
XII.	Gucio rozstaje się z księżniczką . . . . .	123
XIII.	Gucio dowiaduje się, gdzie jego mateczka chodziła na spacer . . . . .	135
XIV.	Gucio się przebudza . . . . .	140









200 ✓

1908

20 -

9826

25/11/70

